odgłosy

TYGODNIK

ROK VII

Nr 33 (337)
16. VIII. 1964 R.
10 stron
CENA 1 ZŁ

W numerze: Opowiadanie Czarnego i wiersze Kocznowa • Nadolski o Alei Karczochów • Czarna rewolta • Zalotnik i mysz • Książka o Grottgerze • Recenzje • Polonica • Felietony • Nowelka kryminalna

KONRAD FREJDLICH

W PEŁNYM SŁOŃCU

Do południa niełatwo spotkać człowieka. Wieś jakby wyludniona, chociaż chałupy porządne i to przy łódzko-warszawskim trakcie. Na straży domostw zostają psy, kłódki, czasem dzieci, ale te najmniejsze, bo rozgarnięte bezpieczniej jest zabierać z sobą, żeby nie wrócić z pracy na kupkę popiołu.

Mieszkańców trzeba dopiero szukać na polach. W zapiekłym powietrzu wszystko wygląda spowolniałe. Zresztą obie snopowiązałki naprawdę utknęły w życie i musiano im pomóc kosami.

Maszyny ruszały, ale znowu stawały zakorkowane. W tym roku zboże powichrzył grad, więc technika wysiada, ściernisko za snopowiązałką powystrzygane jest w nierówne schody. Ale ludzie, zamiast wściekać się, wymyślali na poczekaniu dowcipy: „Nie mówiłem, trzeba ich na kursy do fryzjera. Tam się nauczą porządnie strzyc".

Znaleźli czas, żeby zajść kierownika od tyłu. Stał pochylony nad maszyną, kiedy go splątali powrozem ze słomy. W jednej chwili zerwał więzy i powiedział: „No, już dobra" Wiadomo, jak kierownik gospodarstwa. Ale: „Co dobra, któryś podchwycił, będzie pół litra, szefie?"

Fundusz reprezentacyjny mają dyrektorzy, ale nie dyrektorzy PGR, a tym bardziej już nie kierownicy. Odjechał bryczką i wrócił po półgodzinie z kawą zbożową w bańce od mleka i sporą torbą cukierków. W tym czasie sytuacja nie zdążyła się zmienić na korzyść. Ciągle jeszcze kosami wyrąbywali klin w zbożu, podejście dla maszyny.

Kosami macha się jednakowo. Czy teraz, czy sto lat temu: jeden wysiłek. Robili zaciekle. Z ludzkiej zadziorności, bo nawet nie dla zarobku. Skoszony hektar równa się 480 zł do podziału, jeżeli na akord. Wypada w brygadzie 32—40 zł na łebka i na dobę, tyle samo co dniówka.

W tej pracy południe oznacza przerwę, gromadą ruszyli do domów na obiad. Po wysiłku nie spieszyli się, szli gęsiego ociężale, żeby sobie dodatkowo nie dawać na poty. Z pól do wsi nie jest daleko, pół godziny drogi piechotą. Tylko obsługa maszyn odczepiła traktory od snopowiązałek i odjechała lokomocją: ich prawo.

Byli w połowie drogi do wsi, gdy od asfaltu nadszedł mężczyzna prowadząc rower. Zabudowania są w przeciwnej stronie i właśnie szosa wyznacza granice PGR-owskich zasiewów, wyglądało więc, że to ktoś obcy. „Rower służbowy?" — spytałem, żeby wdać się w gadkę. „Gdzie tam, nie dali, biorę zawsze własny".

Jest stróżem polowym, polowym i nocnym. Sam na 400 hektarach, a jest co objeżdżać. Nie, zboża nikt nie zwędzi, bo się nie opłaca, ale maszyn trzeba pilnować i to dobrze. Nocą wychodzi się na obchód zawsze z psem.

Jednego psa już mu zatłukli. Ba, żeby to człowiek wiedział kto, bo ciemno było, że strach i zaczaili się w czterech na niego w pobliżu tej szosy. Pies wyczuł coś, rzucił się pierwszy i od razu było po nim, bo dali mu bykowcem w łeb, roztrzaskali. Czterem w kupie i tak nie dałoby się rady, udał więc, że ucieka. Ale naprawdę to wyszedł na szosę i chciał zatrzymać ciężarówkę, tylko nie stanęła. Wtedy poleciał na wieś po ludzi, ale zanim się kogo dobudził, złodzieje zdążyli odejść. Zabrali koła od lewara warte dwa tysiące.

Gdyby tak broń jaką mieć, to by i było raźniej. Z dubeltówki można wygarnąć w kulosy, więc złodziej nawet jak co zabierze, i tak z tym nie ucieknie. Poczeka, choćby do rana poczeka, nie ma mocnych.

On już miał dubeltówkę, chociaż nie swoją, tylko służbową. Bo nie tak długo przed wojną pilnował lasu, ale stracił robotę. Poszło przez niejakiego Rosiaka, który był gajowym w tych stronach, dokładnie w Woli Błędowej. Rosiak z synem mieli do niego złość o jednego chłopa.

Ten chłop chciał wywieźć drzewo z lasu, furmanką. Rosiacy schwytali go i zbili, że nie daj Bóg, czym popadło, kułakami, kolbą. Powiedzieli, że stróż powinien tak samo bić, bo służba wymaga, ale nie posłuchał. Pobity widział to i wziął go potem na świadka do sądu. Było trochę strachu przed Rosiakami, ale zeznał wszystko pod przysięgą. Syna z ojcem posadzono, tylko że na krótko.

Rosiacy wyszli i znowu zostali gajowymi. Powiedzieli, że to przez jego świadectwo dostali wyrok i od razu zaczęli się mścić. Myślał, że go zastrzelą, więc się pilnował zawsze w lesie, dwa razy tłukł się z nimi na pięści. Potem administrator wezwał go do siebie i zwolnił.

Służbę w lesie pełnił w Woli Błędowej niby jako w nagrodę. Hrabia, znaczy się Rzewuski, go tam posłał. Wola była w posiadaniu Lemańskich, dziedzic spodziewał się spadku po siostrze i kazał wszystkiemu się przyglądać. Miał taką fantazję, ale majątek i tak dostał Krusche.

Ojciec, kiedy jeszcze żył, był u hrabiego kuczerem. On sam, kiedy dorósł, dostał się do pałacu za stangreta. Powoził, choć rzadko, bo hrabia w ogóle rzadko bywał w Polsce, częściej w Paryżu jako konsul. W Bratoszewicach prawie wcale, hrabia wolał na torach wyścigowych, na Służewcu. Ładną miał stajnię Rzewuski, same konie rasowe.

Hrabia nie znał się na gospodarce i nie miał na nią czasu. Majątkiem rządzili administratorzy, ale niezbyt dobrze kładli swoją rękę, zmieniano ich często. Żaden właściwie się nie udał, a już Osiecki, były lokaj, to zupełnie. O ziemię nie dbał wcale, bo w głowie tylko miał kobiety, a jak se którą upatrzył w polu, to przymuszał.

Za Osieckiego pałac 9 miesięcy nie płacił pensji. Nie były wysokie, 30 zł na kwartał, ale w ogóle bez pieniędzy, już się odechciewało żyć. Ciągle mleko z krów, które hrabia oddał fornalom w używanie, dwie na rodzinę: zboża też dawał 14 kwintali na rok i 12 metrów drzewa.

Co miesiąc kobiety wychodziły po pensję, ale kasa była zamknięta. Ośmieliły się kiedyś zapukać, to Osiecki wyszedł i siłą wypchnął je z biura. Mężczyźni chcieli się wtrącić, że jakże to tak, ale administrator pierwszy powiedział: „Komu się nie podoba może się od zaraz zwolnić".

Akurat hrabia powrócił z Paryża. Kazał zaprzęgać, chociaż najczęściej wyjeżdżał wierzchem. Powiedział: „Coś marne w tym roku zbiory", ale nie mogło być inaczej, powiedziałem. „Dlaczego?" — zdziwił się hrabia. Bałem się wytłumaczyć jaśniej, żeby mnie nie zwolnił. Powiedział, że nie zwolni. Wszystkie nawozy kradł administrator i woził wagonami do swego majątku, który wtedy nabył.

Dano znać zawiadowcy stacji, bo właśnie zamówiono 20 ton saletrzaku. Nawóz nadszedł koło niedzieli.

Dalszy ciąg na str. 5

Lublin 1944 r. CAF

Z najgłębszym żalem, w bólu i żałobie żegnamy Tow. Aleksandra Zawadzkiego, wielkiego syna Polski i działacza państwowego, komunistę i patriotę, rewolucyjnego działacza klasy robotniczej — i orędownika jedności narodowej, internacjonalistę — i budowniczego Polski Ludowej. Dobrze się zasłużył socjalizmowi i ojczyźnie. Dobrze się zasłużył klasie robotniczej, narodowi i Polsce.

CZEŚĆ JEGO PAMIĘCI

(Z przemówienia Władysława Gomułki na uroczystości żałobnej)

KAROL BADZIAK

Trudna droga powrotu

ZA MURAMI

Za oknem gabinetu komendanta dziedziniec więzienny: gładkie płyty kamienne, równo przystrzyżone trawniki. Echna martwa cisza. Wokół pusto i spokojnie. A przecież jest to spokój pozorny. W więzieniu trwa ostre pogotowie amnestyjne. Obok pracuje zespół sędziowski, przegląda akta, rozpatruje sprawy, decyduje o tym kto wyjdzie na wolność. Amnestie realizuje się skrupulatnie, dokładnie, z pietyzmem dla litery prawa i ducha sprawiedliwości. A dla więźniów, których obejmuje dekret amnestyjny każda minuta pobytu tutaj zdaje się wydłużać w nieskończoność.

Pytam komendanta: — Jak więźniowie przyjęli wiadomość o amnestii?

— Amnestia nie była dla nikogo zaskoczeniem. Więźniowie spodziewali się jej, żyli nią, o niej marzyli. Wierzę, że wielu ludzi we właściwy sposób skorzysta z odzyskania wolności. Przede wszystkim zaś skorzystają ich rodziny. Polepszy się ich sytuacja materialna. Znalazła się jednakże spora grupa więźniów, którzy wieść o amnestii przyjęli w sposób niiaki. Dotyczy to szczególnie tych, którzy nie mają uregulowanego stosunku do życia, nie mają rodzin, domu, są bez zawodu. Dla nich amnestia otworzyła bramy niepokoju. Wiadomość o wyjściu na wolność przyjęli z ulgą, ale i z obawą. Na szczęście takich nie jest dużo.

Amnestia działa obosiecznie. Jednym daje wolność, drugim odbiera nadzieję na odzyskanie wolności. Amnestia przekreśla nadzieje na amnestię. Jednocześnie upewnia społeczeństwo, że groźni przestępcy nie opuszczą murów więziennych.

Każdy więzień przed wyjściem na wolność badany jest przez lekarza. Następnie udaje się do wychowawcy na rozmowę. Władze więzienne przed wypuszczeniem go na wolność pragną zorientować się w jego sytuacji życiowej. W trakcie wykonywania dekretu amnestyjnego w więzieniu znajduje się również urzędnik wydziału zatrudnienia oraz przedstawiciel opieki społecznej. Delikwent otrzymuje cywilne ubranie, w razie potrzeby bilet na drogę i skierowanie do pracy. „Obyśmy się tu więcej nie ujrzeli" — żegnają go strażnicy.

Przeglądam akta zwolnionych. Kim są ci, którym się „przebacza i puszcza w niepamięć?"

Dalszy ciąg na str. 3

odgłosy

w świecie

PO ROKU CISZY

Kiedy w sierpniowy dzień ub. roku w Moskwie podpisano układ o częściowym zakazie doświadczeń z bronią jądrową — świat odetchnął z ulgą. Był to najpiękniejszy podarunek wakacyjny, jaki trzy wielkie mocarstwa mogły podarować światu. Jego znaczenie wybiega bowiem daleko poza artykuły układu, nie ogranicza się absolutnie do przerwania doświadczeń w powietrzu, wodzie i kosmosie, choć i to — z uwagi na wzrastającą wciąż radioaktywność — było wówczas bardzo istotne.

Układ moskiewski udowodnił jednak przede wszystkim co innego — to że w świecie rozdartym na dwa przeciwne obozy, nawet przy wysokim stopniu komplikacji zagadnień międzynarodowych — porozumienie jest możliwe, jeśli tylko dyplomatycznemu działaniu towarzyszyć będzie dobra wola. Porozumienie sierpniowe otworzyło więc pomyślną perspektywę, z której trzy wielkie mocarstwa w ciągu minionego roku skorzystały, ogłaszając decyzję o zmniejszeniu produkcji materiałów rozszczepialnych na cele wojskowe.

Daleko to jeszcze wprawdzie do uwolnienia świata od atomowej zmory, ale istotny wstępny krok w tej dziedzinie został zrobiony.

Jak daleko, niech posłuży przykład, który podał Władysław Gomułka w referacie na IV Zjeździe PZPR; jeśli obecne tempo zbrojeń jądrowych nie osłabnie — w r. 1970, nagromadzone zapasy wystarczą do 100-krotnego uśmiercenia każdego mieszkańca kuli ziemskiej.

Już tylko ta liczba, a przecież można by ją mnożyć, wyznacza kierunek dalszego działania.

Niestety, na drodze do wyeliminowania nuklearnej groźby, mnożą się liczne przeszkody. Zaliczyć trzeba do nich: i niechęć Zachodu do objęcia nakazem wszystkich doświadczeń, co utrudnia nowe porozumienia, i fakt, że nie wszystkie kraje przyłączyły się do atomowej ciszy (Francja właśnie przygotowuje się do kolejnej eksplozji) i wreszcie uparte forsowanie projektu wielostronnych sił nuklearnych NATO, który wbrew rozsądkowi rozszerzałby obecny stan posiadania tej broni również na rewizjonistyczne Niemcy zachodnie.

Czym grozi powiększenie ilości państw nuklearnych, nie trzeba chyba wyjaśniać. Wzmaga to niebezpieczeństwo wojny przez przypadek, jako że każdy z nuklearnych krajów tworzy własny system ochronny przed nagłą napaścią.

A cóż dopiero, gdy ta najniebezpieczniejsza z broni, znalazłaby się w ręku zachodnioniemieckich militarystów! To coś jeszcze groźniejszego, niż przysłowiowe zapałki w rękach dziecka.

Oto dlaczego obóz socjalistyczny tak aktywnie przeciwdziała rozpowszechnianiu broni nuklearnej, nie zaniedbując niczego, co może służyć temu celowi.

W roku, określonym datami 5 sierpnia 1963 r. — kolejną poważną cegiełkę do tego dzieła wniosła również Polska.

Propozycja zgłoszona na uroczystości uruchomienia rurociągu „Przyjaźń" przez I Sekretarza KC PZPR, a znana już w świecie pod nazwą „Planu Gomułki", podporządkowana jest tej naczelnej idei. Jej istota „nie wwozić broni nuklearnej i nie produkować", zrozumiała jest dla każdego, kto nie chce być obojętny na rozwój sytuacji w centralnej Europie. I z pewnością tak, jak „Plan Rapackiego", nie będzie ona schodzić z porządku dnia.

Polska — jeden z pierwszych sygnatariuszy układu z sierpnia ub. roku, swoją propozycją wskazuje drogę częściowych fragmentarycznych rozwiązań, przeciwstawiając demagogicznej zasadzie: „wszystko lub nic", głoszonej przez faktycznych przeciwników układu — rozsądek i realizm.

* * *

Sierpniowa rocznica zbiega się z inną, jakże wymowną datą — tragedią Hiroszimy. 6 sierpnia 1945 r. zapoczątkował nowy okres w dziejach ludzkości — erę atomową. Mogłaby być to era wspaniałego rozwoju ludzkości, gdyby jej początek nie zwiastowała śmierć 100 tysięcy spalonych w ogniu pierwszego nuklearnego wybuchu — mieszkańców japońskiego miasta i dziesiątków tysięcy ginących od atomowej choroby po dzień dzisiejszy.

Niestety, rozbicie atomu miast służyć człowiekowi — obróciło się przeciwko niemu. Nie jest jeszcze za późno, by zmienić tę paradoksalną sytuację, by atom przestał być synonimem nieszczęścia. Wiarę w ludzki rozsądek przywrócił właśnie układ moskiewski.

I na tym przede wszystkim polega jego historyczne znaczenie. Miejmy nadzieję, że układ moskiewski, pod którym widnieją podpisy rządów ponad 100 krajów, oprze się licznym przeciwnikom, i tym, którzy wywodzą się spod znaku Goldwatera, i tym, którzy swój sprzeciw osłaniają rewolucyjnym frazesem i założy podwalinę pod trwały pokój.

V. SŁAWSKI

KOLEJNA KOMPROMITACJA -I CO DALEJ?

Normy moralne w odniesieniu do jednostki od czasów Hammurabiego ulegają nie takim znów wielkim zmianom. Wiadomo, że pewien typ ludzkiego działania choć często w granicach dość elastycznych, bywa przecież ostatecznie nagrodzony mianem „przyzwoitości". Znamy to określenie, prawda? Mówi się, — „tego by przyzwoity człowiek nie zrobił...", albo — „przyzwoity człowiek ręki by takiemu nie podał".

A jak to bywa w stosunkach między państwami? Cóż, zdarza się różnie, i nie miejsce tu na rozważania historiozoficzne. Ale jedno jest dziś, w latach sześćdziesiątych naszego wieku, zupełnie pewne: świat nie tak łatwo jak dawniej daje się nabrać na pięknie brzmiące deklaracje, na ewangeliczne oświadczenia. Międzynarodowa opinia społeczna nauczyła się uważnie konfrontować słowa z faktami i na nic nie zda się głośne nawet zapewnianie o wzniosłych celach przyświecających działaniom pewnych państw, jeśli tym słowom nie towarzyszą czyny i sprawdzalne fakty.

Dlatego właśnie ubiegły rok był dla prestiżu Stanów Zjednoczonych rokiem klęski. To wielkie mocarstwo raz po raz ukazywało się nam w jakże kompromitującym świetle: niewiarogodne zdarzenia, poczynając od wciąż jeszcze tajemniczego zabójstwa prezydenta, aż po utorowany w ten sposób sukces przedwyborczy groźnego politycznego awanturnika — wszystko to musiało zachwiać zaufaniem nawet najbardziej proamerykańsko nastawionych kół politycznych całego świata. Nie jest więc dziełem przypadku tytuł, jaki rozważaniom na ten temat nadał niedawno wybitny umiarkowany brytyjski publicysta: „Miniony Rok w USA — czy li Amerykańska Apokalipsa."

Lecz oto ze sfery spraw wewnętrznych, z tego ponurego kręgu polityki i gangsterskich, morderczych strzałów, z wzrastającego chaosu wywołanego przez rasistowską reakcję, „amerykańska polityka" obszar działania przeniosła w jeden z najbardziej zapalnych rejonów naszego globu.

Powiedzmy dla ścisłości: wiadomo od paru miesięcy, że właśnie w południowo-wschodniej Azji przygotowywuje się demonstrację amerykańskich metod prowadzenia polityki międzynarodowej. Wskazywały na to wypowiedzi waszyngtońskich mężów stanu, gorączkowe przygotowania militarne i na szeroką skalę zakrojone urabianie opinii publicznej we własnym kraju i za granicą. Takie zapowiedzi wyczytać można było między wierszami sekretarzy Stanu Ruska i McNamarry. Nominacja generała Maxwella Taylora na ambasadora w południowym Wietnamie (a w rzeczywistości na amerykańskiego głównodowodzącego w tej strefie) na całym świecie została odczytana jako niepokojąca zapowiedź.

Ostatnie miesiące przyniosły ogromne nasilenie amerykańskich poczynań propagandowych: najpopularniejsze gazety i magazyny Zachodu raz po raz publikowały obszerne i bogato ilustrowane reportaże z Indochin. Dziwne to były reportaże, bo ilustracje w sposób wyraźny przeczyły tekstom: na zdjęciach widzieliśmy skatowanych Wietnamczyków tuż przed egzekucją, lub w czasie przesłuchania. Widzieliśmy spalone wioski, w których przychwycono partyzanta, trupy kobiet i dzieci, zacięte pełne nienawiści twarze wietnamskich chłopów. A teksty mówiły o czymś zgoła różnym: dowiadywaliśmy się z nich, że wietnamscy komuniści zagrażają kulturze Zachodu. Że arcykatolicki generał Khan broni swego narodu przed komunistyczną agresją, że amerykańskie odrzutowce, helikoptery, bataliony tak zwanych doradców i krążąca po bliskich morzach flota wojenna bronią w poł.-wsch. Azji sprawy wolności.

Od paru miesięcy gazety Zachodu przyzwyczajały opinię publiczną do możliwości przeniesienia wojny na teren Wietnamskiej Republiki Demokratycznej. Była to cyniczna i brutalna gadanina, a przecież opinia światowa nie spodziewała się, że w ślad za nią pójdzie równie cyniczna i brutalna akcja. Napaść amerykańskich bombowców na kraj, z którym USA nie są w stanie wojny, ten oczywisty dowód agresji zbyt przypomina fakty dobrze znane z niedawnej przeszłości. To przecież typowa metoda najeźdźców. I wystarczy, że przypomnimy kolejne inwazje Hitlera czy napaść na Pearl Harbour. I któż weźmie na serio twierdzenie Białego Domu, że to Wietnamska Republika Demokratyczna jest agresorem, że to ona właśnie zaatakowała w Zatoce Tonkińskiej (a więc na własnych niemal wodach terytorialnych) oczywiście pokojowo i spokojnie pływające tam jednostki floty morskiej USA.

Trudno takie twierdzenia wziąć za dobrą monetę, lecz mimo to wśród sprzymierzeńców USA czynione są rozpaczliwe wysiłki, by znaleźć jakieś argumenty uzasadniające poczynania kłopotliwego sojusznika. I w ten sposób powstają skomplikowane łamańce myślowe, od których roi się na łamach prasy Zachodu. Można je sprowadzić do dwóch zasadniczych tez:

○ **A więc po pierwsze:** działania w Zatoce Tonkińskiej należy traktować nie jako element amerykańskiej polityki zagranicznej, a tym bardziej nie jako element agresywnej i imperialistycznej polityki. Chodzi przecież tylko o demonstrację siły, potrzebną dla wzmocnienia akcji prezydenta Johnsona wobec demagogii przedwyborczej Goldwatera. Wypadki w południowo - wschodniej Azji należy więc uznać za epizod amerykańskiej walki przedwyborczej.

○ **Po drugie:** akcja USA choć zapewne agresywna, ma przecież charakter odstraszający — zapobiegawczy, zmierza do lokalizacji konfliktu, do zawężenia jego zasięgu. Została więc przeprowadzona w interesie pokoju.

Obie te tezy — jakże cyniczne — bagatelizują wstrząsające fakty: pogwałcenie międzynarodowych praw, agresję, śmierć niewinnych ludzi, zagrożenie światowego pokoju. Ich różnorakie, często bardzo publicystycznie zręczne sformułowania zmierzają do wprowadzenia opinii publicznej w błąd. Wystarczy jednak to, co się zdarzyło sprowadzić do stwierdzeń powszechnie zrozumiałych, by sprawa ukazała nam się we właściwym świetle.

○ Jest faktem, że bagnety, samoloty i flota Stanów Zjednoczonych — i tylko one! — stanowią ostoję antynarodowej kliki generała Khana, rządzącej południowym Wietnamem. Bez pomocy amerykańskiej jego „rząd" nie ostałby się ani dnia.

○ Na wodach przybrzeżnych południowo - wschodniej Azji dokonuje się koncentracja floty amerykańskiej, a polityka amerykańska w tym kraju reprezentuje znany z wojowniczych wypowiedzi generał, który zastąpił cywilnego dyplomatę.

○ Wreszcie faktem jest, że po nalotach samolotów amerykańskich wsie i miasta Wietnamskiej Republiki Demokratycznej płoną od bomb i napalmu.

Wystarczy tak uporządkować fakty, i oto już staje się oczywiste, że Stany Zjednoczone na forum międzynarodowym zaprezentowały metody gangsterskie. Co z tego wyniknie wykaże przyszłość. Jedno już dziś jest pewne — amerykańskie bomby burzą nie tylko wsie Wietnamu. Godzą również w międzynarodowy prestiż USA.

STEFAN MICHAŁOWSKI

POLONICA

CZESI O KAFCE

Z Pragi czeskiej otrzymaliśmy, wydana tam nakładem „Ceskoslovenske Akademie Véd", książkę zawierającą prace uczestników tzw. Libickiej Konferencji, która poświęcona była twórczości Franciszka Kafki i odbyła się w 1963 roku. Książka ładnie wydana i bogato ilustrowana, zawiera wypowiedzi i referaty uczonych, i pisarzy czeskich, francuskich, węgierskich, niemieckich, jugosłowiańskich. Polskę reprezentował na tej konferencji Roman Karst, którego wypowiedź pt. „Pokus o zachranu človeka" (Próba obrony człowieka) pomieszczono również w omawianym wydawnictwie.

WYWIAD Z JÓZEFEM MROSZCZAKIEM

W hamburskim tygodniku „Die Zeit" (z dnia 26 lipca br.) ukazał się wywiad z prof. Józefem Mroszczakiem, który przez rok czasu wykładał gościnnie w Szkole Sztuk Plastycznych w Düsseldorfie. Oto niektóre pytania wywiadu i odpowiedzi. Pytanie: „Co Panu się najwięcej a co najmniej w Niemczech podobało?" Odpowiedź: „Najwięcej: sympatia młodzieży niemieckiej dla mojego kraju. Najmniej: przemówienia Seebohma i plakaty Ślazaków". Pytanie: „Panie profesorze, gdyby jakiś turysta z kraju zachodniego przyjechał do Warszawy i pańskim studentom dał do wyboru dwie walizki — jedna z whisky, a druga z książkami, obrazami i płytami, co by ci młodzi ludzie wybrali?" Odpowiedź: „Whisky byłaby rzeczą ponętną, ale ostatecznie wybraliby oni książki, obrazy i płyty. Albowiem — musi Pan wiedzieć, że w Polsce dzieją się rzeczy ciekawe..."

WIADOMOŚCI Z WĘGIER

W Budapeszcie ukazała się książka Mariana Naszkowskiego pt. „Niespokojne dni" w przekładzie dziennikarza węgierskiego Laszlo Szabo. Książkę opublikowało Wydawnictwo Kossuth. Dowiadujemy się również, że w Ośrodku Kultury Polskiej w Budapeszcie odbył się odczyt prof. d. Endre Kovacsa, laureata nagrody im. Kossutha, o 600-leciu Uniwersytetu Jagiellońskiego. Prof. dr Kovacs wydał m. in. książkę o generale Bemie, za którą otrzymał wspomnianą wyżej nagrodę im. Kossutha. Jest on także autorem następujących publikacji: „Historia literatury polskiej" i „Uniwersytet krakowski a kultura węgierska".

POWIEŚĆ POLSKIEGO AUTORA

Przebywający stale w Ameryce, Polak, Paweł Mayewski, (nawiasem mówiąc urodzony w Łodzi), ogłosił w wydawnictwie nowojorskim Scribnersa, pierwszą swoją powieść pisaną w języku angielskim pt. „The Journey and the Pity" (Podróż i litość). Krytyka chwali utwór za pomysł i problematykę, ale gani za niedoskonałość artystyczną. Ciekawe, że w tygodniku „Saturday Review" napisał recenzję Theodore Zielkowski, również Polak z pochodzenia. Recenzję tę przedrukował następnie miesięcznik „Ameryka". Paweł Mayewski jest jednym z redaktorów wydawanego w Stanach Zjednoczonych i dostępnego w Polsce kwartalnika w języku polskim pn. „Tematy".

ANTOLOGIA PROZY POLSKIEJ W NRD

Nakładem wydawnictwa Volk und Welt ukazała się w Berlinie wschodnim antologia noweli polskiej pt. „Moderne polnische Prosa", zawierająca 32 opowiadania 26 autorów współczesnych w przekładach H. Bereski i C. Rymarowicza. W przedmowie do tej antologii czytamy: „Oblicze dzisiejszej literatury polskiej jest obrócone do świata, niekonwencjonalne i interesujące. Niezwykła różnorodność i bogactwo środków artystycznych, wielość form wyrazu stanowią o cechach tej literatury. Nowele opowiadania i krótkie opowieści zawarte w tym tomie, pragną ukazać bogactwo współczesnej literatury polskiej, w której wielkie tradycje narodu obecne są i żywe".

STULECIE WEDEKINDA

W związku z rocznicą stulecia urodzin Franka Wedekinda, która minęła 24 lipca 1964 roku, wiele pism niemieckich przypomniało tego głośnego na przełomie stuleci dramaturga, obok Gerharta Hauptmanna jednego z najwybitniejszych w epoce naturalizmu i krytycznego realizmu. Dla nas, Polaków, jest rzeczą interesującą, że jeden z dramatów Wedekinda pt. „Hidalla oder Sein und Haben" ukazał się w wydawnictwie Juliana Marchlewskiego w Monachium w 1905 roku. Przypomniano również, w związku z tą rocznicą urodzin pisarza, że jedna z najwybitniejszych odtwórczyń roli Lulu w jego dramacie „Puszka Pandory" była aktorka polskiego pochodzenia, Maria Orska.

W WIEDNIU O LECU

W jednym z lipcowych numerów dziennika wiedeńskiego „Die Volksstimme" ukazała się recenzja z wydanych niedawno w NRF „Nowych myśli nieuczesanych" Stanisława Jerzego Leca. Dotychczas wszystkie recenzje o Lecu były pochwalne. Recenzja w „Volksstimme" jest pierwszą próbą krytycznego spojrzenia na znakomite aforyzmy naszego autora. Autorowi recenzji nie podobają się takie myśli jak na przykład: „Im bardziej zbliżamy się do prawdy tym bardziej oddalamy się od rzeczywistości", albo: „Prawda zwycięża niekiedy — gdy przestaje istnieć". Nam się te myśli podobają, ale — jak wiadomo — o upodobania spierać się nie można.

POLONICA

TRUDNA DROGA POWROTU

Dalszy ciąg ze str. 1

Z. K. lat 18, ślusarz, skazany na 1 rok więzienia za uderzenie milicjanta.

L. M. lat 25, konwojent, ukradł 2 i pół kg pomarańczy. Skazany na dwa miesiące aresztu.

H. W. lat 23, kierowca. Nabył 5 i pół litra kradzionego spirytusu. 6 miesięcy więzienia.

W. J. lat 25, malarz. Skradł 4 i pół litra spirytusu z PMS. Zwolniony przez prokuratora w trakcie postępowania.

M. W. lat 30, tokarz. Nabył części do motocykla wiedząc, że pochodzą z kradzieży. 4 miesiące aresztu.

S. Z. lat 19, bez zawodu. Uruchomił samochód nie posiadając prawa jazdy. Zburzył bramę, zagrażał bezpieczeństwu publicznemu. Zwolniony w czasie śledztwa.

J. Z. lat 40, robotnik. Ukradł 2 metry sześć. drzewa. 6 miesięcy więzienia.

Nie są to więc zdeklarowani przestępcy, znaleźli się w więzieniu przypadkiem, gorzko odpokutowali swoje grzechy i grzeszki. Miejmy nadzieję, że już tu nigdy nie wrócą. Jednego z nich, który znajdował się za bramą więzienia strażnik zawołał, aby wrócił po paczkę, którą mu rodzina w ostatniej chwili przysłała. Chłopak nie wiedział o co chodzi. Pomyślał, że go z powrotem chcą wsadzić do celi. Przerażony wpadł w dziką rozpacz i zaczął bić głową o mur. Siłą go odciągnięto i wytłumaczono o co chodzi. Ten na pewno nigdy już tu nie wróci.

Kilkunastoosobowa grupa mężczyzn zbliża się wolno do bramy. Idą na spotkanie wolności. Przekroczenie progu w tę stronę jest czasem trudniejsze niż w **tamtą** stronę. Mężczyźni kroczą wpatrzeni w ziemię, dźwigając z sobą bagaż psychiczny, którego niełatwo będzie się pozbyć. Temida im przebaczyła. Czy przebaczą im koledzy, sąsiedzi, krewni, rodzina, własne dzieci?

* * *

POD MURAMI WIĘZIENIA

Brama się nieznacznie uchyliła i spora grupka mężczyzn ukazała się dziesiątkom par oczu wpatrzonych od rana w ten jeden punkt. Chwila pełna napięcia, która u jednych natychmiast przerodziła się w radość, u innych w rozczarowanie. Czekali tutaj od wczesnego ranka, z nadzieją w sercu, z wałówkami w torebkach i z wódką postawioną w domu na stole.

Darowanie winy jest zawsze gestem wiary w człowieka. W momentach szczególnie uroczystych dla społeczeństwa, istnieje zwyczaj obdarzania wolnością jednostek, które z tym społeczeństwem weszły w konflikt. Amnestia jest wynikiem głębokiego przekonania, że dla człowieka, który popełnił przestępstwo póki żyje, widzi i myśli, nigdy nie jest za późno, by w naszych warunkach społecznych wrócił do normalnego życia. Powrót przestępcy do życia przewija się jako problem społeczny i moralny przez wszystkie epoki. Obok ciągłego buntu chęć pojednania jest najgłębszą tęsknotą każdego człowieka.

— „Przysięgam na własną matkę, że moja noga tu nigdy nie stanie" — zapewniał jeden z mężczyzn opuszczających więzienny gmach. To więzienie nie ma w sobie nic z posępnych, groźnych i surowych kształtów tradycyjnych miejsc odosobnienia. Jest łagodne w swej architekturze, przypomina raczej nowoczesny zakład pracy niż obiekt ograniczający ludzka swobodę poruszania i postępowania.

Więźniowie wychodzili szybko, w zdumionym milczeniu, w przyspieszonym biciu serc. Wolność traci się przeważnie w krzyku rozpaczy, odzyskuje zaś w grobowej ciszy własnego szaleństwa. Z głębokości tego szaleństwa wyrwie się czasem tylko przysięga „już nigdy".

Bywa i odwrotnie. Pewien młodzian kilka godzin po odzyskaniu wolności napadł na Karolewie kobietę, wykręcił jej rękę, wyrwał torebkę, zabrał dwieście złotych... i wrócił tu ponownie w zbrojnej asyście. Cóż, milicja w tych dniach jest szczególnie czujna.

Na wieść o amnestii pod mury więzienia przyszło sporo ludzi. Jakiś ojciec czeka na syna. Gwarantuje, że syn jest niewinny. Guzik milicjantowi w tramwaju oderwał i wsadzili. „Pan rozumie, za jeden guzik sześć miesięcy". „Pomieszał się panu guzik z guzem" — mówi jegomość, który dał się już poznać jako człowiek nie mający dobrego mniemania o dzisiejszej młodzieży. Jego zięć zbyt często w stanie heroicznego opilstwa siniaczył mu córkę. Przyszedł więc pod więzienie ostrzec kochanego zięcia, aby się w domu nie pokazywał. Nieprzyjemność go może spotkać i tyle.

Nikt z tych co przyszli pod mury więzienia nie przyniósł z sobą kwiatów. Przynieśli koce, leżaki, jaja na twardo, roztarasowali się przy drodze, zabijając czas oczekiwania wspomnieniami o uczynkach swych bliźnich.

„Było to w dniu moich imienin. Kupiłam trochę wódki, przyszedł sąsiad z dołu i z mężem wypili. Wreszcie już nie było co pić, to wyszli o jakieś dwunastej w nocy i poszli na piwo. Stary wrócił do domu nad ranem. Przyniósł z sobą dwa kilo kiełbasy, półtora litra wódki i parę złotych w kieszeni. Ja nic się nie odezwałam, matka kiełbasę schowała i poszliśmy spać. Na drugi dzień była niedziela, obudziłam go, ubrałam dziecko i poszliśmy na spacer do parku. Mój co chwila się ogląda, jak zobaczy milicjanta to się robi zielony. Coś mi się wydawało to podejrzane. Wtem podchodzi jeden znajomy i pokazuje gazetę. Piszą, że napad był na sklep przy Zachodniej. Po południu przyszedł sąsiad, wyciągam kiełbasę, wódkę postawiłam na stole, żeby się chłop rozerwał. Ale nie pomogło. Co jaki stuk na korytarzu, to on już drży. I tak przez całe trzy miesiące. Chłop się zupełnie rozkleił i był do niczego. Ciężar mi z serca spadł, kiedy przyszli po niego. Półtora roku jak obszył. Chyba go nie zwolnią, ale przyszłam. Jak się dowiedziałam, że amnestia, urlop wzięłam z pracy".

Nad wieczorem jeszcze dwóch wypuścili. Jednego zaraz rodzina zabrała. Drugi z wezełkiem w ręku ruszył prosto do miasta. Z nikim nie chciał rozmawiać. Ogłuszony wolnością. Prosił tylko, aby nikomu nie wspominać, że go tu widziałem. Wszyscy wiedzą, że do sanatorium wyjechał.

> Dobrodziejstwem amnestii objęte zostało w całym kraju 30 tys. osób. W Łodzi z amnestii skorzystało 1300 osób, w tym zakłady karne opuściło 700 osób.

TRUDNE DROGI WOLNOŚCI

Na wolność wyszło kilka tysięcy osób w całym kraju. Czy będą mieli trudności ze znalezieniem pracy? Raczej mieć ich nie powinni. W chwili obecnej liczba wolnych miejsc pracy przewyższa liczbę osób opuszczających więzienia. Szczególnie dużo jest miejsc dla pracowników fizycznych, a tych wśród zwalnianych jest najwięcej. Z pracownikami umysłowymi sprawa przedstawia się gorzej. Ci, którzy pracowali na stanowiskach kierowniczych lub materialnie odpowiedzialnych, do tej samej pracy nie powrócą. W tym zakresie amnestia bowiem nie anuluje istniejących przepisów.

Problem tkwi więc nie w urzędach zatrudnienia, lecz na miejscu, w zakładach pracy. Wielu więźniów, tych, którzy nie weszli bezpośrednio w konflikt ze swymi zakładami chce powrócić do swej dawnej pracy. To jest w pełni możliwe. Z tym, że zakładu nie można zmusić, aby przyjął człowieka do pracy jeśli przyjąć go nie chce. Decyduje jedynie dobra wola i rozsądek. Zwolnieni z więzienia faworyzowani nie będą. Wiadomo, że zakłady niechętnie przyjmują do pracy ludzi po wyrokach. To również nie jest słuszne. Trzeba w jakiejś mierze zaufać człowiekowi, któremu nawet zdarzyło się już raz to zaufanie zawieść. Rozsądek nakazuje, aby dać tym ludziom znośne warunki startu do nowego życia. Nakazuje to również profilaktyka społeczna. Trzeba dać im szanse.

> W „grupie uprzywilejowanej" dotychczas opuściło w całym kraju zakłady karne ok. 1000 młodocianych, ponad 2100 kobiet posiadających dzieci, do lat 14, 93 kobiety w wieku ponad 55 lat i 242 mężczyzn w wieku ponad 60 lat.

Ludzie, którzy w wyniku amnestii wyszli na wolność mieli wyroki krótkoterminowe, nie stracili kontaktów z rodziną, ze środowiskiem, bez większych trudności więc wrócą i przystosują się do normalnego życia. Oczywiście trzeba sobie otwarcie powiedzieć, że człowiek po wyjściu z więzienia choćby wrócił bez przeszkód do swej dawnej pracy, do rodziny i do środowiska, nigdy nie wraca natychmiast do swej dawnej pozycji społecznej. Kara więzienia, choć darowana, jest i rodzajem degradacji społecznej. Jest i degradacją moralną w oczach opinii publicznej. Z więzienia wraca się zawsze z nadszarpniętym prestiżem. Od tego amnestii nie ma. Ludzi, którzy wyszli z więzienia czeka więc trudna droga do odzyskania szacunku, zaufania, pozycji społecznej i autorytetu moralnego. Takie są, niestety, trudne drogi wolności, bo taka jest prawda o życiu.

KAROL BADZIAK

ŁÓDZKIE XX-LECIE

Osiedle im. Lumumby

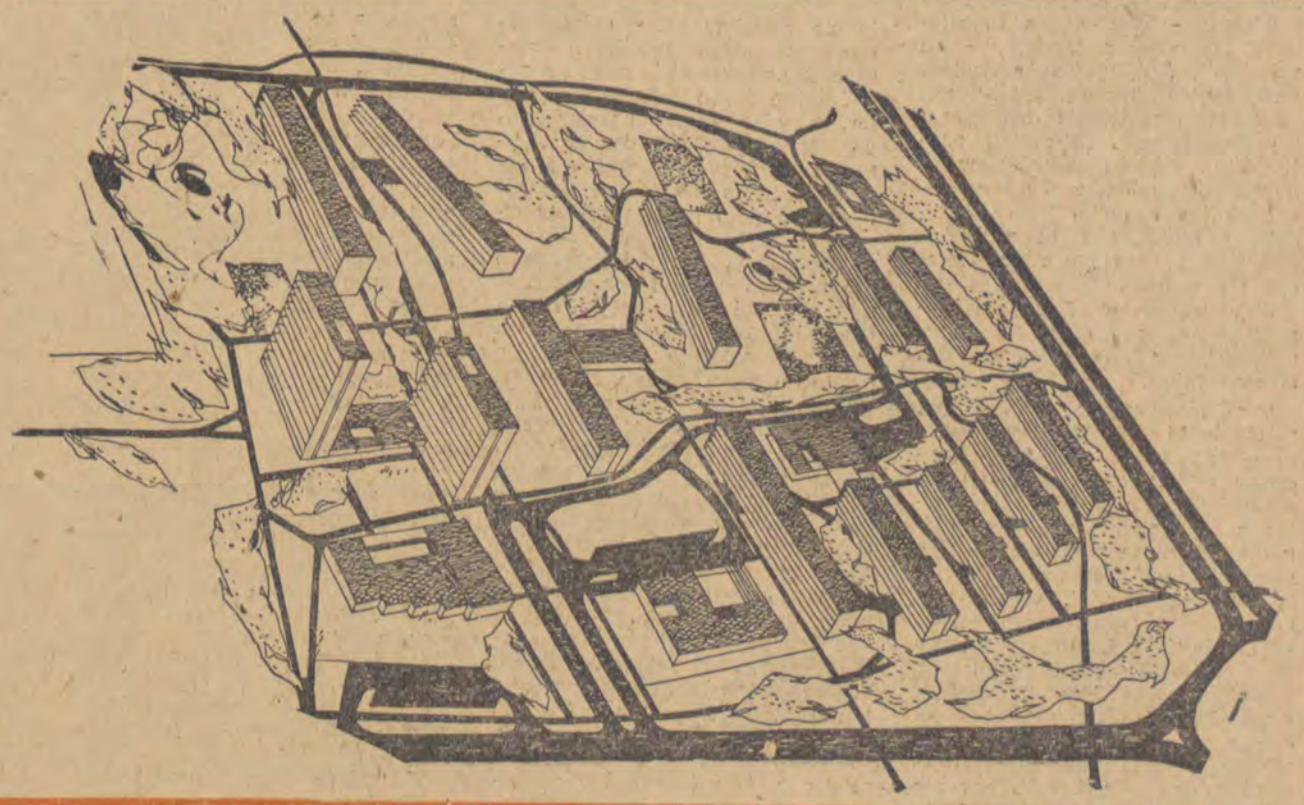

MYŚL: Kiedy w 1945 roku Łódź stała się ośrodkiem akademickim, kiedy kilkunastotysięczna rzesza młodzieży rozpoczęła tu studia — zaistniała konieczność zbudowania dla tej rzeszy dużego ośrodka. Budowę osiedla na Stokach rozpoczęto w początkach lat pięćdziesiątych.

DANE: W Osiedlu im. Lumumby znajduje się 5 dużych Domów Studenckich, w których mieszka ok. 3,5 tysiąca młodzieży. W dwu DS mieszkają studenci Uniwersytetu, w dwu — studenci Akademii Medycznej i w jednym — słuchacze Politechniki. W DS Uniwersytetu działają dwa kluby — „Balbina" i „Perełka". Na terenie osiedla istnieje ośrodek sportowy AZS — stadion, korty tenisowe, boiska piłki ręcznej, pawilon mieszczący przebieralnie i magazyn. Planuje się budowę basenu pływackiego.

PROJEKTANT: Domy Studenckie są projektami mgr inż. Kazimierza Sprusiaka i arch. Józefa Korskiego. Projekt rozbudowy — inż. Jerzy Jakubczak.

KOSZT: Koszt jednego DS wynosi ok. 8 milionów złotych. Tak więc koszt całego Osiedla (bez ośrodka A) wynosi 40 milionów złotych. Dla porównania — tyle również kosztował gmach Biblioteki Uniwersyteckiej.

rys. mgr inż. arch. Sławomir Arabski

CZARNA REWOLTA

WSIADŁSZY przy „Pępku Świata" — Times Square — do autobusu jadącego w kierunku Górnego Manhattanu, po kilkunastu minutach zaobserwujemy charakterystyczną zmianę pasażerów — biali wysiadają, wsiadają i pozostają czarni. Pomiędzy 110 a 145 ulicą w poprzek wyspy rozciąga się kraina Czarnego Człowieka — Harlem.

W Harlemie, jedynymi białymi, są policjanci, komornicy i nieliczni sklepikarze. Jedynymi, gdyż nawet w ciągu dnia trudno tu spotkać białego turystę. Przed udaniem się do tej dzielnicy przestrzegają znajomi, odstrasza wroga atmosfera tłumu.

Harlem stanowi punkt zapalny Nowego Jorku. Bunty Murzynów wybuchają tu łatwo i często. Na tegoroczny wybuch złożyły się warunki życia oraz coraz bardziej burzliwa fala ogólnoamerykańskiego buntu Murzynów mającego w USA nazwę Murzyńskiej Rewolty.

W aktualnej prasie amerykańskiej przytaczane są następujące fakty charakteryzujące sytuację życiową mieszkańców Harlemu: Bezrobocie dwukrotnie większe niż w dzielnicach białych, co czwarty Murzyn jest bez pracy, średni zarobek na rodzinę murzyńską wynosi 3.480 dolarów w porównaniu ze średnią ogólną Nowego Jorku 5.103 dolary na rok. Szkoły Harlemu są wyłącznie murzyńskie, połowa uczniów wstępujących do szkoły średniej, opuszcza ją przed ukończeniem. Warunki mieszkaniowe są potworne — składa się na to postępujący wzrost gęstości zaludnienia i stopniowa coraz dalej idąca ruina nieremontowanych domów; przy czym ceny mieszkań są tu nieomal dwukrotnie wyższe niż odpowiednich mieszkań w dzielnicach dla białych. W Harlemie liczba morderstw jest sześciokrotnie wyższa, zbrodniczość wśród młodzieży dwukrotnie wyższa, a narkomani dziesięciokrotnie częściej spotykani niż w dzielnicach białych. Znany pisarz murzyński — James Baldwin — urodzony i wychowany w Harlemie, a żyjący obecnie w Paryżu pisał: „Nienawidziłem i bałem się białych. Nie znaczy to, bym kochał czarnych; przeciwnie, gardziłem nimi i tym gettem, z którego nigdy nie mogli uciec. W efekcie nienawidziłem i bałem się całego świata".

W ubiegłym roku w Harlemie wybuchł strajk mieszkaniowy przeciwko właścicielom domów czynszowych. Tegoroczne rozruchy w Harlemie, jak również w niedaleko leżącym Brooklynie i Rochester miały podobne punkty zapalne — akcję policji. W przypadku Harlemu było to zastrzelenie 15-letniego chłopca, w Rochester próba aresztowania 17-letniego Murzyna, oskarżonego o pijaństwo. Nie jest to przypadek. „Prawdziwymi zbrodniarzami w Harlemie — powiedziała reporterowi Murzynka z Harlemu — są policjanci. Za łapówki zezwalają na narkotyki, hazard, prostytucję, za łapówki zezwalają działać tutaj gangsterom". „Przysłali nam tu setki, tysiące policjantów — mówił psycholog z Harlemu — a zrobiliby o niebo lepiej, przysyłając murarzy i hydraulików. Ale nikt ani za grosz nie troszczy się o nas".

Rola policji w Rewolcie Murzyńskiej jest znamienna. Przypomnijmy najbardziej znane, drastyczne fakty.

◇ Zamordowanie w Jackson, w stanie Missisipi Medgara Eversa — przywódcy organizacji walczącej o zniesienie segregacji rasowej. Wszystkie poszlaki, łącznie z zeznaniami świadków, którzy krytycznego wieczora widzieli samochód podejrzanego w pobliżu miejsca zbrodni, wskazywały na znanego fanatycznego rasistę — komiwojażera, Byrona De La Beckwith. Alibi dostarczyli mu 3 policjanci, którzy na krótko przed i wkrótce po ustalonej godzinie morderstwa widzieli Beckwitha w jego rodzinnym miasteczku Greenwood, oddalonym o kilkadziesiąt kilometrów od Jackson. Wiarygodność zeznań policji w tym przypadku jest bardzo podejrzana. Tak podejrzana, że w dwu kolejnych procesach o morderstwo prawie połowa sędziów wyrokowała: winien! Ostatnio uwolniony z więzienia za kaucją, Beckwith ostentacyjnie paraduje po miasteczku w samochodzie policyjnym i w towarzystwie policjantów.

◇ W dniu 21 czerwca br. w powiecie Nashoba, stanu Missisipi, niedaleko miasteczka Philadelphia zaginęło bez śladu trzech studentów, ochotników, którzy w okresie wakacji mieli pomagać Murzynom w korzystaniu z niedawno zatwierdzonych przez Kongres równych praw obywatelskich, prowadzić letnie szkoły, agitować, by Murzyni zgłaszali się do rejestracji przed nowymi wyborami prezydenckimi itd. Jedynym śladem po zaginionych był spalony samochód. Jednakże ostatnie godziny ich życia wskazują winowajców. „Co najmniej jeden z policjantów zna ich losy" — pisał reporter The New York Times. Trójka ochotników została zatrzymana w chwilę po obejrzeniu spalonego przez rasistów kościoła, gdy zatrzymali się na pustej szosie z powodu przebicia opony. Zostali oskarżeni o przekroczenie dozwolonej szybkości i pod pistoletami zawiezieni do więzienia. Tam nie pozwolono im komunikować się z kimkolwiek i po kilku godzinach, o wpół do jedenastej w nocy jakoby zostali zwolnieni. Od tego czasu ślad po nich zaginął. Według praw amerykańskich za przekroczenie szybkości otrzymuje się mandat, który należy zapłacić w ciągu tygodnia. Przekroczenia szybkości mógł dokonać tylko jeden człowiek — szofer, a więc czemu zaaresztowano trzech? W kilka dni po zaginięciu szef policji wysunął zarzut, iż jeden z trójki został zatrzymany jako podejrzany o podpalenie. A więc czemu zatrzymano trzech? Czemu nie pozwolono skomunikować się im z adwokatem? „Zaaresztowanie trzech chłopców było nielegalne; było to nic innego, jak kidnapping", pisał reporter Herald Tribune. Posmaku aferze dodaje fakt, iż policjantem, który zatrzymał młodzieńców był szef ochotniczej straży pożarnej powiatu Nashoba, powiatu, w którym niedawno został spalony, prawdopodobnie przy użyciu napalmu kościół, oglądany przez zaginionych na moment przed ich aresztowaniem.

◇ Trudno policzyć nieustające gwałty popełniane przez rasistów, bądź to na pojedynczych osobach, bądź na społeczności murzyńskiej. Strzały z pędzących samochodów, rzucanie bomb do prywatnych domów, kościołów, miejsc zebrań Murzynów, podpalanie, zamachy na przywódców... Lista jest zadziwiająco długa. Jest rzeczą charakterystyczną — żadna ze zbrodni nie została wykryta, żaden sprawca nie został ukarany. Nie byłoby to możliwe, bez pomocy ze strony lokalnej policji.

◇ I wreszcie ostatni, zapalny dla Harlemu przypadek morderstwa. W dzielnicy białych otwarto na okres wakacji szkołę. Uczniami byli m. in. Murzyni. Pewnego dnia kilku z nich wdało się w kłótnię z dozorcą z naprzeciwka. W pewnym momencie ten krzycząc: „Brudne czarnuchy, zmyję tę czerń z was", zaczął ich polewać hydrantem. Chłopcy odpowiedzieli butelkami. Dozorca uciekł do bramy. W tym momencie z warsztatu naprawy telewizorów wyszedł ubrany po cywilnemu policjant — por. T. Gilligan. Raport mówi: „Przedstawił się chłopcom i kazał im zaprzestać awantur. Wtedy jeden z nich — James Powell — napadł nań z nożem. Gilligan w samoobronie oddał trzy strzały, zabijając chłopca". Po pierwsze, świadkowie zeznają, że Powell nie miał noża, po drugie, był on 15-letnim chłopcem, a Gilligan (100 kg wagi, dwa metry wzrostu), doświadczonym policjantem po szesnastu latach służby i gdyby nawet Powell miał nóż, powinien sobie z chłopcem poradzić nie mordując go, po trzecie świadkowie zaprzeczają, jakoby policjant ostrzegał przed użyciem broni. Innymi słowy Gilligan przez społeczność murzyńską został uznany za winnego morderstwa z premedytacją.

„Rewolta Murzyńska" z jednej strony, a reakcja białych segregacjonistów z drugiej, prowadzą do spięć, bójek ulicznych, manifestacji, w których angażowane są coraz większe siły policyjne. Nie pomagają długie „nocne" pałki policyjne, rażące prądem kije, w dawnych spokojnych czasach używane jedynie w rzeźniach do pędzenia bydła, nie pomagają armatki wodne. Kilka tygodni temu jeden ze sztabowców policyjnych oświadczył, iż w niedługim czasie policja otrzyma nie które z najnowocześniejszych środków obrony i ataku. Przede wszystkim zbroja — plastikowa, dwukilogramowa, osłaniająca klatkę piersiową, szyję i brzuch przed kulami rewolwerowymi. „Policjant znacznie aktywniej pracuje, gdy jest pewien swej skóry". Środki dla rozpędzania tłumów: sztuczna mgła, gazy usypiające, naelektryzowane samochody policyjne, syreny policyjne o nadzwyczajnej mocy, lampy błyskowe zainstalowane na dachach samochodów, o mocy zezwalającej na oślepienie człowieka w promieniu dziesiątków metrów i inne.

W trakcie ostatnich zamieszek w Harlemie wielotysięczne tłumy stanęły przeciwko setkom, tysiącom policjantów. Poszły w ruch pałki, gazy łzawiące, sikawki strażackie, pistolety. Na policjantów leciały z ulic okien i dachów domów kamienie, cegły, butelki, płyn zapalający. Oczywiście z rozruchów skorzystały szumowiny — dziesiątki sklepów zostało rozbitych, towary rozkradzione. W ciągu tygodnia zginęły dwie osoby (J. Powell i drugi Murzyn, zastrzelony z dachu), 141 osób zostało ciężko rannych (w tym 48 policjantów), zaaresztowano 519. Dane te dotyczą jedynie Harlemu, a równocześnie rozruchy miały miejsce w Brooklynie i Rochester. Nienawiść tłumu, żądza krwi, są wykorzystywane przez ekstremistów — Czarnych Muzułmanów, których przywódca E. M. Davies wołał: „Wszyscy czarni, którzy służyli w wojsku i co nieco wiedzą na temat walki partyzanckiej powinni przyjść z pomocą naszym ludziom. Jeśli musimy umierać, umierajmy nau kowo". Inny przywódca z Harlemu — Jesse Grey — wzywał do organizowania się. Szukał „stu mądrych czarnych rewolucjonistów, którzy są gotowi umrzeć. To miasto może być zupełnie zmienione przez 50.000 dobrze zorganizowanych Murzynów. Oni będą mogli określić, co stanie się z Nowym Jorkiem". Gray znalazł 95 ochotników.

Prezydent Johnson zarządził przeprowadzenie śledztwa w Harlemie przez 200 agentów FBI. Burmistrz Nowego Jorku Wagner, który zdaje się kłopotać rozruchami głównie z powodu odpływu turystów z tegorocznych Targów Światowych, odbywających się na przedmieściach miasta, wzywał do spokoju. „Prawo i porządek — mówił — są najlepszymi przyjaciółmi Murzynów. Przeciwieństwem są Ku-Klux-Klan, bandyci nocni, motłoch lynchu. Przywódcy murzyńscy zażądali: zawieszenia w czynnościach służbowych por. Gilligana i zaaresztowania go pod zarzutem morderstwa; zwiększenia w Harlemie liczby czarnych policjantów (aktualnie jest ich ok. 15 proc.); komisji złożonej z osób cywilnych, która by przeprowadziła dochodzenie w sprawie brutalności policji i przekraczania przez nią uprawnień; poprawy warunków mieszkaniowych. Władze miasta przychyliły się do żądań. W ostatnich dniach lipca przywódcy pięciu największych organizacji murzyńskich zgodzili się na zaprzestanie do czasu wyborów prezydenckich jakichkolwiek demonstracji czy akcji na tle rasowym. Nastąpiło zawieszenie broni.

I tak od lokalnych spraw Harlemu doszliśmy do zagadnień polityki światowej. Niewątpliwie rozruchy murzyńskie są na rękę republikańskiemu kandydatowi na prezydenta — senatorowi B. Goldwaterowi. Jego nieokiełznany radykalizm, który po konwencji wyborczej zraził szereg jego zwolenników, w obliczu narastającego buntu Murzynów może zwerbować mu nowych, zwłaszcza spośród tych imigrantów, którzy boją się utraty pracy w przypadku uzyskania przez Murzynów faktycznie równych praw, oraz spośród konserwatywnych drobnych właścicieli, sklepikarzy, robotników, którzy najwięcej tracą w trakcie rozruchów. W czasie zajść w Harlemie delegacja murzyńska pikietująca komendę policji w centralnym Manhattanie została obrzucona kamieniami i zgniłymi jajami przez młodych włoskich emigrantów. Krzyczeli: „Wracajcie do Harlemu! Komuniści! Goldwater na prezydenta!". Prasa amerykańska wskazuje, że wśród najnowszych zwolenników Goldwatera są kolonie emigrantów włoskich, irlandzkich, słowackich i... polskich. Strach przed utratą chleba bywa złym doradcą politycznym.

Opracował **F. R.**

Harlem: nędza, narkotyki, występek, sojusz policji i gangsterów. A przede wszystkim — nienawiść. (Rys. wg Observera)

Notatki na marginesie

BARRY GOLDWATER ZA 1.500 DOLARÓW

Najdroższy album fotograficzny na świecie nosi tytuł „The Face of Arizona" („Oblicze Arizony"). Jego autorem jest kandydat na prezydenta USA Barry Goldwater. Księga zawiera 50 fotografii i kosztuje, z podpisem autora, 1.500 dolarów. Ukazała się w nakładzie 1.000 egzemplarzy i dochód ze sprzedaży jej ma być użyty na koszty kampanii wyborczej. Goldwater, poczynając od r. 1935, brał udział w 207 wystawach fotograficznych; jest członkiem Królewskiego Towarzystwa Fotograficznego w Londynie. Nie znamy tego albumu, ale nie wątpimy, że Goldwater jest daleko lepszym fotografem niż senatorem, czy też — nie daj Bóg — prezydentem.

ANEMIA MURZYŃSKA

Anemia murzyńska — dziedziczna choroba, na którą choruje przeszło 100 milionów ludzi na świecie, była przedmiotem prelekcji profesora Linusa Paulinga na zebraniu laureatów nagrody Nobla w Lindau w NRF. L. Pauling dwukrotny laureat Nobla — ongi w dziedzinie chemii, obecnie za działalność na rzecz pokoju — stwierdził, że przyczyną tej anemii są zmiany rozwojowe w genach molekuł hemoglobiny. Wykrył on prawidłowość tych zmian, przy pomocy której można dokładnie określić długość życia na ziemi i historię jego rozwoju. Według Paulinga człowiek przed 140 milionami lat miał wspólną linię rozwojową, to znaczy wspólnych przodków no z niem, dopiero potem linie te rozdzieliły się. Większość małp miała wspólnych przodków z człowiekiem przed 40 milionami lat, goryle przed 16 milionami lat.

Badania w zakresie struktury molekularnej ludzkiego ciała mogą według Paulinga doprowadzić do opanowania wszelkich chorób. Pewność, że człowiek miał wspólnych przodków wraz ze zwierzętami nie zwalnia go od obowiązku aby żył miedzy ludźmi jak człowiek.

ŚNIEGOWY CZŁOWIEK UTRZYMUJE NEPAL

YETI — jest stale wielką atrakcją turystyczną Nepalu. Świadczy o tym oświadczenie ministra Nepalu Krishny Bom Malli na prasowej konferencji w Genewie. Na pytanie dziennikarzy, jakie środki są potrzebne aby rozwiązać ważne zagadnienia gospodarcze tego kraju, minister odpowiedział bez wahania, że największym pożytkiem byłoby zbudowanie dobrze urządzonych ośrodków turystycznych, skąd turyści zagraniczni mogliby wyprawiać się w góry w poszukiwaniu śladów YETI.

(w.)

Dalszy ciąg ze str. 1

i, nie wyładowany, pojechał dalej. Hrabia miał Osieckiego w ręku, więc strasznie się uniósł; rozmowę z administratorem podsłuchał lokaj Janek Uciech i powtórzył wszystkim. Rzewuski zmienił Osieckiego na Belinę.

Ojciec służył u hrabiego całe życie, obiecano go. wynagrodzić i z tą wiarą zamknął oczy, ale się niczego nie doczekał. Więc młodsi byli już mniej czuli na obiecanki, po prostu nie tak łatwowierni. Zresztą odprawa dla ojca to nie był odosobniony wypadek. Córka Rzewuskiego dopiero teraz pisze czułe listy z zagranicy do jednego szoferaka, który kiedyś woził hrabiego; będzie z pół roku jak przysłała paczkę. Zdaje się za to odmalował płot, olejno, ale w różne kolory. Powiadają tak samo, że syn hrabiego dostał pozwolenie od rządu na przyjazd, chociaż to pewnie tylko gadanie.

Hrabia to był wielki liberał, zresztą rzadko kto widział go w tamtych latach, ciągle we Francji, a na co dzień do ludzi wychodził administrator albo rządca. Tylko raz wezwał do siebie do pałacu, przez takie zebranie, bo o zebraniu ktoś mu doniósł.

Było tak, że kiedyś przyjechali z miasta na rowerach ze związków zawodowych. Owszem, człowiek trochę się strachał, ale pomogło się im skrzyknąć ludzi. Przyszło z pół wsi, bo to akurat w czasie, gdy pałac nie płacił i żyć nie było z czego, ale hrabia się nie ugiął. Bankrutem to on nie był, forsę miał, wżeniony w Platerów, tylko uważał, że nie powinno się dokładać do rolnictwa.

Hrabia powiedział wtedy, że to wszystko bunt, a w jego majątku nie będzie żadnych zebrań ani rewolucji. Zaraz też wyszło z pałacu przeniesienie starego do Woli, jako nagroda za wykrycie machlojek Osieckiego, chociaż pewnikiem chodziło Rzewuskiemu o tamto zebranie. W każdym razie pensji zaległej nie wypłacono staremu, aż do wojny; u połowy wsi jest zadłużony do tej pory hrabia.

Stary zapala się. Wprawdzie nie mówi sprawnie i nie wiadomo, co tu jest narażone na większy wysiłek, czy język czy pamięć, ale temat porywa go, zapomina o swych obowiązkach i ciągle nie przyjmuje propozycji, żeby usiąść, tylko stojąc ciężko wspiera się o rower. Nagle przytomnieje i, odwróciwszy głowę, przepatruje ten kawałek pola, na którym żniwiarze pozostawili mechaniczny sprzęt.

„Ech, powiada, nie ruszą, w biały dzień niczego nie ruszą".

W dzień to czego innego trzeba tu pilnować. Żeby łąki nie spaśli. Jak się człowiek nie pokaże w okolicy, od razu wypędzają swoje krowy. Zresztą teraz się uspokoiło, od kiedy odebrano prawo sądzenia miejscowemu kolegium.

To może być interesujące. Ale stary powiada, że żadne tam takie. Gospodarze na swoim to jedna rodzina. Komu mieli rąbać grzywny? Krewnym? A tylko gospodarscy synowie byli tu za urzędników. To się i wypłacali ojcom za wałówki i za forsę na naukę.

Za Rzewuskiego to by się nie znalazł taki gieroj, żeby wypasać na oczach. O, hrabia miał swój autorytet. Nawet teraz ludzie boją się powiedzieć co złego o hrabim, zwłaszcza do gazety. Przecież tam do Italii dociera polska prasa i ktoś z rodziny Rzewuskich mógłby to przeczytać.

On się nie boi, bo stary już jest, to jedno, a drugie — widział już trochę świata, Italię tak samo. Nie jak Rzewuscy z limuzyny, z poduszką pod tyłkiem, tylko pod ogniem niemieckich cekaemów. Czy ładne tam są góry, nie powie, bo czołgał się z twarzą ku ziemi, a Niemcy prażyli z klasztoru, na pewno pan czytał.

Strach to on przeżył raz w obozie jenieckim. Wzięli go do niewoli we wrześniu i wywieźli nad Ren; wielka rzeka. Tam robił w fabryce amunicji i czekał na swój koniec. Wtedy poznał jednego Francuza, Marcela, który przed wojną pilotował statki na Renie, też więźnia.

Marcel te wody zjeździł w każdą stronę. Jako marynarz umiał pływać, ale z jego pływaniem, starego, było dużo gorzej. Marcel kusił go pokazując na rzekę; trzy boki ogrodzenia były z drutu kolczastego, czwarty bok stanowił Ren.

Którejś nocy weszli w wodę. Przeprawa trwała kilka godzin, więc w obozie mogli spostrzec ich ucieczkę. Owszem, ścigano ich na terenie protektoratu, ukryli się u chłopa w stodole a potem Marcel wycyganił ubrania cywilne. Udało im się nawiązać kontakt z aliantami i samolotem zabrali się do Anglii.

Z wojska wyszedł stary w stopniu plutonowego. Zresztą nie wyszedł od razu. Po wojnie pracował przy likwidacji obozów w strefie amerykańskiej, wysyłali transporty do różnych krajów Europy. Z jednym zabrał się do Polski, na rekonesans, bo właściwie zamierzał zostać na Zachodzie, gdzie gwarantowano mu dobre zarobki.

W PEŁNYM SŁOŃCU

Ale potem na Zachód wrócić już nie chciał. Co swoje, to swoje. Lubi robotę w ziemi, a najbardziej to przy koniach. Pracował w PGR w Kutnowskiem i spory kawał czasu w Walewicach. Pięć lat temu wrócił do Bratoszewic.

Skłamałby, gdyby powiedział, że wioskę tę poznał. Nie dlatego, że pałac był wtedy zrujnowany, bo pałac się już nie liczył, dopiero w zeszłym roku zaczęto go odnawiać, ale nie chodzi o pałac, tylko o domki.

Domki stoją po obu stronach kościoła, jest ich 8 albo 9, trzeba by dopiero dokładnie policzyć. Dalsze są w budowie. PGR-owskie, dla pracowników. Z kanalizacją. W każdym razie z rurami. Wody nie udało się doprowadzić jak dotąd do wszystkich.

Stary sam siebie przynagla, bo zaraz ludzie wrócą z przerwy obiadowej. Trochę wątek zaczyna mu się rwać, bo dużo chciałby powiedzieć i boi się, że nie zdąży. Potem uspokaja się, widać uprzytomnił sobie, że to jednak dużo takie dwie godziny na polu w pełnym słońcu.

On mieszka w jednym z takich domków. Ale to jego szczęście, bo ma papiery samodzielnego brygadzisty, skończył kurs i dostał zaświadczenie. Ludzie, cóż ludzie, mieszkają tu różnie.

Niedaleko kościoła, za kawiarnią, stoją czerwone czworaki. Tam się mieści stołówka, ale przeważnie to mieszkają fornale. Nazywa się to tutaj „koszary", chociaż nigdy nie stało w nich wojsko; stawiał je dla parobków Rzewuski.

Za hrabiego nie było tam nawet podłóg, starczyło klepisko. Za demokracji zaraz położyli deski, ale do tej pory zgniły. Nie można powiedzieć, przydzielano pracownikom duże pomieszczenia, ale dopóki starczyło. Teraz z jakichś dziesięć rodzin mieszka w jednej izbie. Latem to jeszcze pół biedy, byle się przespać. Zresztą ci z pojedynek wpadli na pomysł i w ciepłej porze gotują na kuchenkach wstawionych do komórek. Z rur dymi się jak z dwudziestu fabrycznych kominów, a wszystko idzie nie w powietrze, tylko na podwórze.

Gospodarze to tutaj mieszkają dużo lepiej, może nie tak dobrze, jak w kolonii domków, ale gdzież ich porównywać z fornalami. Gospodarze mają po prostu więcej pieniędzy i nawet kiedy najmują do żniw, płacą ludziom lepiej niż PGR, tak ze trzy razy lepiej. Chociaż u nich trzeba więcej się narobić, bo tylko kosami.

A u gospodarzy rodzi się gorzej niż tutaj. Oj, co tu się nawoziło, ciągle nawoziło po wyjałowieniu ziemi przez rządców hrabiego. Deficyt, był i deficyt, i dopiero cztery lata temu można było powiedzieć o jakich-takich plonach. Jakby kto zaklął te grunty.

Właśnie zaczynają się pokazywać z daleka żniwiarze. Stary widocznie pogodził się, że nie zdąży powiedzieć wszystkiego, więc ciągnie spokojnie. Opowiada i pokazuje ręką przed siebie, w stronę słońca, ale chodzi mu tylko o kierunek. Tam się znajduje wieś Borówka, dawny folwark.

Borówka należała do majątku, hrabia posiadał więcej niż te cztery-sta hektarów, a ile naprawdę miał, już nie w ziemi, tylko w pieniądzu, tego nie wie nikt. Bardzo dużo. Borówka poszła na pierwszy ogień. W czterdziestym piątym ziemię rozdano chłopom z reformy. Parcelacja odbyła się na oczach hrabiego, który zamieszkał w Borówce, kiedy pałac zajęli dla swoich celów Niemcy. Stary wie to od ludzi, choćby od swego brata, który tu robił i robi od urodzenia. Hrabia umarł dopiero parę lat temu, też w Borówce, chociaż pochowany jest w Bratoszewicach, w kaplicy.

Milknie, pewnie z szacunku dla śmierci, ten szacunek pozwala mu zapomnieć na moment o tych czasach, które w umieraniu wyprzedziły hrabiego. Potem jakby się wstydził tego zamilknięcia, a może sprawiają to nadchodzące dwie polne brygady, bo powiada zupełnie inaczej niż dotąd: „Dobrze, niech i ja się czegoś dowiem".

Chodzi o tę kradzież kół od lewara. Było przecież śledztwo. Przyjeżdżała milicja z psami, ale ślad urywał się na szosie. Jego wezwano do prokuratora, zeznawał jako świadek z dobre pół godziny. Podpisał protokół. Potem prokurator zapytał jeszcze, po co się narażał. Jak to narażał się, przecież miał pilnować. Ale z prokuratorem nie było dyskusji, prokurator go opieprzył.

Za co mu zmyto głowę? Przecież on chciał jak najlepiej. Jakby tylko popuścić, oj ładnie wyglądałoby to wszystko.

Nie czeka na odpowiedź, wsiada na rower i pedałuje miedzą do szosy. Nie słyszy już, jak kierownik targuje się z traktorzystami, żeby w niedzielę też robili maszynami. Póki słońce.

Kosiarze skończyli swoje, jutro przy święcie będą wolni. A maszyn trzeba będzie popilnować.

KONRAD FREJDLICH

„Gra w piłkę" — L. Sitensky

Wydawało się, że list Wojciecha Siemiona do „Przekroju" zakończył dyskusję nad drukowanym przez nas wierszem Urszuli Kozioł pt. „Kolęda" (.....a gdyby ktoś miał wątpliwości co do piękności tego wiersza, to proszę o przesłanie na mój adres prywatny kawałka taśmy magnetofonowej do nagrania" — tyle W. Siemion).

A tymczasem pan BB, który fragment wiersza wysłał uprzednio na „przekrojowa" „Oślą ławkę" — nie daje jednak rdzewieć mieczom. Oto jego list, podpisany tym razem pełnym nazwiskiem.

LISTY do REDAKCJI

SZANOWNY PANIE REDAKTORZE!

W numerze 31 „Odgłosów" z dn. 2.VIII.64 r. końcowa część felietoniku p. Wilmańskiego zawiera atak na „czcigodnego" (dziękuję, ale skąd Pan wie?) BB, który ośmielił się przesłać fragment wiersza U. Kozioł pt. „Kolęda" do „Przekroju". Pan W. odsądza BB od czci i wiary, przypisując mu „bielmo na oku", tendencje do obtrącania genitalii posągom i różne takie rzeczy, które mógł i był w stanie przy tej pogodzie wymyślić.

Ogólnie jednak zarzuty p. W. dają się sprowadzić do tego, że BB nie ma prawa do krytyki i traktowania wiersza fragmentarycznie.

Moim zdaniem każdy, kto wydaje jakąś pracę musi być przygotowany na jej ocenę, która może być rozmaita, o czym każdemu wiadomo. Dalej p. W. suponuje, że podstawą do oceny fragmentu był tzw. brzydki wyraz w tekście. Słowa „grube i cienkie" nie są w literaturze nowością. Gorzej jest, jeżeli się tymi wulgaryzmami epatuje czytelnika, a tak to czyni właśnie p. Kozioł w swoim wierszu, gdyż rzeczowo nie mają one żadnego uzasadnienia. Gorzej, ten wiersz nie ma wiele sensu, choć dobrze widzi 'go podobno Siemion i felietonista „Odgłosów". Oto fragment:

„uzbrojony krokodyl gotowy do strzału
łypnął okiem na gwiazdę czy to aby ten blask
drgnęły żółwi pancernych cylindryczne zady
kopuł wspartych w ostrogi nieforemnych łap"

Umyślnie nie wziąłem fragmentu z tzw. „brzydkim wyrazem", żeby nie drażnić felietonisty „Odgłosów". Zapytajmy się jednak najpierw czy mamy prawo do analizy fragmentu. W tym względzie ważne będzie świadectwo prof. Kubackiego, który napisał wspaniałą rozprawę na temat zwrotu z „Hymnu" Słowackiego, mianowicie, „tęczy blasków promienistych". Tylko te trzy słowa dały mu okazję do wspaniałej analizy metafory. Ale metafory, która ma sens i logikę. A teraz niech mi kto wytłumaczy, co tu do czego należy. Czy kopuła do żółwia, czy ostrogi do zadu, czy do gwiazdy, czy do blasku.

Ktoś powie, że się czepiam. Dałem ten tekst dziesięciu inteligentom, żeby mi wytłumaczyli. Jedni pasowali od razu, inni rozkładali ręce, jeszcze inni traktowali to jako „coś do śmiechu".

Zgadzamy się na metaforę, ale musi ona być logiczna semantycznie uzasadniona.

W tymże numerze 31. mamy inny produkt z tej „beczki": Józef Ratajczak: „Człowiek":

.....W pojedynkę
we dwoje
wiem znowu
że dłonie stworzone zostały
do chodzenia..." itd.

Jeżeli autor na tych swoich dłoniach „do chodzenia" przejdzie z Redakcji „Odgłosów" do Grand Hotelu, stawiam tyle kaw, ile wypije i ciastek, ile zje.

Jako metafora, jako element logiczno-semantyczny jest to pomysł bzdurny. Tak samo, jak krokodyl strzelający z poprzedniego fragmentu.

Nie każde zestawienie słów rozstrzelonym drukiem jest wierszem i tutaj musimy stanowczo żądać zachowania pewnych form, oczywiście, logicznych.

Do słów grubych, jak rzekłem, jesteśmy już przyzwyczajeni, np. A. Kijowski oceniając twórczość Z. Tyrmanda napisał, że „jest to literatura dla gówniarzy". Ostatecznie jest to sprawa między literatami, my, ludzie prości, nie wtrącamy się do tego, jak im z tym dobrze. Ale z sensu, logiki składni — za pozwoleniem — nie zrezygnujemy, czy to się pp. Kozioł, Siemionowi i p. Wilmańskiemu podoba, czy nie.

A teraz na zakończenie sprawa ostatnia. „Odgłosy" pozyskały nowych pracowników, ożywiły się — widać to w doborze artykułów, ich treści, rozmaitości. To cieszy. Jako łodzianin jestem rad ze **swojego** pisma i chciałbym, żeby się stało powszechne, tak popularne jak też prowincjonalne, a jednak ogólnopolskie „Życie literackie", ale... ale musimy pamiętać, że w Łodzi czytelnika trzeba pozyskiwać, a nie odstraszać. Czytelnik masowy, a o takim u nas tylko może być mowa musi **rozumieć** co czyta, a nie rozwiązywać szarady z „rękami do chodzenia" i „strzelającymi krokodylami".

Witamy nowoczesność, ale tępmy bełkot i zarozumialstwo grupek, którym się zdaje, że mogą nas „upupić".

Słonimski i Przyboś („Do poetów bezpunktowców") podkreślili, że wiersz, który utracił rym i rytm — może być traktowany jako dzieło sztuki, kiedy rozbudowana metafora **nie dezintegruje** wiersza, tylko **i tylko wtedy.**

A teraz o sadzie Siemiona. To bardzo dobry aktor, ale musi się trochę (i lubi to) reklamować. Stąd pociąg do tych „smaczków" i gratisowych nagrań. Daj mu Boże zdrowie, ale głowę i sąd zachowam własną.

Życzę Panom Redaktorom i sobie dobrej pogody w czasie urlopu.

B. BRZECHALSKI

Łódź.

Drukujemy ten list, uważając, że wszystko jest w porządku, bowiem:

- **„Odgłosy" uznały wiersz Urszuli Kozioł za piękny i opublikowały go.**
- **Jednym ten wiersz się podoba — a innym nie.**
- **Sprawa jest więc dyskusyjna — jak niemal wszystkie aspekty współczesnej sztuki.**

WASYL KOCZNOW

Gdzie twój krok uskrzydlony pieśnią

Gdzie twój krok uskrzydlony pieśnią,
Za którą wiosną?
W piach obuły się nogi, stygną ślady na drogach,
Twoje ręce leżą jak strącone gniazda,
Skąd na zawsze odleciały ptaki.
Las się zbliżył i szumi ci w okna.
To w twoje sny rzucano granatem.
A teraz ręce jak podcięte skrzydła
I trumna jak krzyk oberwany.
Czym były twoje ręce, te nieme
Jak ziemia zapomniana przez deszcze?
Twe poranki opadły i śnieg je pokryje.
Już czarna jesień kroczy wzdłuż urwiska,
Bo to jest twoja ostatnia przystań,
Ten mur za którym płaczą stare matki.
Ptaki odleciały, odleciały ptaki,
Na czarnym urwisku zostawiły łzy,
Garść zwiędłych promieni i bury stygnący horyzont,

Syberia

Bo dla mnie tajga — to zaklęcie.
W okno wpatrzony świerk rozpoczął taniec,
W drzwi pazurami, jak koty, zawzięcie,
Drapie pobladła syberyjska zamieć.

A lato jest tu niby oka mgnienie.
Zakwitło bagno ukryte w gęstwinie,
Nad jeziorami przezroczyste cienie —
Zapach czeremchy okwieconej płynie.

I już po wiośnie — jak po śnie nad ranem.
Nisko przy ziemi przekwitają trawy.
I jesień płonie pod ciężkim polanem.
Krzyczą schylone nad tajgą żurawie.

Syberio! Ja znam od kołyski
Tkwiący w twych wiatrach smutek oszalały.
Poprzez śnieżycę twych sygnałów błyski
Rwały mój spokój i znów iść kazały.
1959 r.

Jesień

Już nad nami skrzydła zmierzchu rosną
Księżyc topi w jeziorze swą twarz.
Znów marzymy, choć dwudziestą wiosnę
Uprowadził niestrudzony czas.

Osunęły się przy drodze jak starcy
Rosłe dęby pod brzemieniem lat
I korzeni wierzb zsiniałe palce
Suszy polny kołujący wiatr.

Na szpalerze krzewów wzdłuż toru
Kosmykami biały leży dym
Warkocz brzozy ślepa dłoń wieczoru
Lekko muska — i bawi się nim.

Babie lato klucz żurawi niesie.
Czemu smutek ściągnął twoje brwi?
Jeszcze dotli się niejedna jesień,
Stanie wiosna niejedna u drzwi.
1958 r.

Przełożył: TADEUSZ GICGIER

JAN CZARNY

W MOIM RODZINNYM MIEŚCIE

Urodziłem się w mieście, które słynęło z niegościnności.

Rzadko kto mówi tak o swoim rodzinnym mieście, ale ja mogę sobie na to pozwolić, ponieważ dawno już tam nie mieszkam i ponieważ nie wymieniam jego nazwy.

Przez moje rodzinne miasto przepływała rzeka, ale, aby zmylić tropy, również nie podaję jej nazwy. Rzeka ta upiększała miasto, ale jednocześnie zasmiecała je w niesłychany sposób. Do dziś dnia głowię się nad tym i nie mogę się zdecydować, czy w większym stopniu je zanieczyszczała, czy upiększała. Na stare lata skłonny jednak jestem zgodzić się, że między dwoma tymi elementami istniała idealna równowaga.

Ta mityczna już dla mnie rzeka, jak dla starożytnych Styks albo Leta, łączy się w wyobraźni z niegościnnością, z której słynęli szeroko, na cały świat, moi krajanie. Zaraz to bliżej wytłumaczę.

Otóż w moim rodzinnym mieście było po prostu bardzo dużo wody, za dużo, powiedzmy otwarcie — i to tak fatalnie zaciążyło na jego rozwoju i na charakterze jego mieszkańców.

Woda dawała o sobie znać nie tylko licznymi mostami i zapa-

chem zgnilizny, unoszącym się nad bogato rozgałęzionymi odnogami. Obfitość wody sprawiała, że szafowano nią z iście wielkopańską rozrzutnością.

Nie chodzi mi o mycie, o nie, bynajmniej.

Kiedy ktoś do nas przychodził w odwiedziny, ciotka Rózia, prowadząca gospodarstwo, pytała przymilnym głosem: — Drogi panie Rufusie, czy nie napije się pan herbaty?

W tak sformułowanym i wygłoszonym odpowiednim tonem pytaniu, z góry już zawarta była odpowiedź, tak jak w ziarnie pszenicy ukryty jest kłos, i gość, dobrze wychowany gość, a takim był właśnie drogi pan Rufus, odpowiadał, zazwyczaj, kłaniając się: — Dziękuję śliczn.e, panno Różyczko, przed chwilą właśnie piłem w domu herbatę, i to nawet z konfiturą.

Po tym oświadczeniu drogi pan Rufus całował rączki cioci Rózi, zapewniając, że mają lepszy smak, niż konfitura z ogórków, ba, nawet z róży, jej imienniczki.

Kiedy zbliżała się obiadowa pora pytanie skierowane do niezłomnego zalotnika brzmiało nieco inaczej: — Pan już jest po obiedzie, prawda, drogi panie Rufusie?

— Prawda, prawda, śliczna panno Różyczko, jak by pani zgadła — odpowiadał drogi pan Rufus — pani mnie zna na wylot, panno Różyczko. Wystarczy, abym na panią spojrzał, a już jestem syty na cały dzień.

Moje rodzinne miasto ponad wszelką wątpliwość było miastem historycznym, ale wszystkie cenniejsze budowle zburzone zostały niestety podczas dwóch światowych wojen.

Pozostała tylko starożytna baszta z murami, o których często wspominano w licznych przewodnikach i książkach, ale na które nikt z mieszkańców nie zwracał uwagi.

W moim rodzinnym mieście urodziło się wyjątkowo wiele utalentowanych ludzi (oczywiście i ja też) i żyło w nim bardzo wielu znanych wariatów.

Ale dla porządku, najpierw o jednych, a potem o drugich.

Moje rodzinne miasto wydało bardzo wielu pisarzy, ale nikt z mieszkańców mojego rodzinnego miasta nie czytał książek, napisanych przez pisarzy urodzonych w moim rodzinnym mieście, książek, w których je opisywali. Każdy tylko mówił: — Wiesz, ten, na Wrocławskiej, ten sklepik z materiałami piśmiennymi prowadzi rodzony brat tej a tej, co to napisała to a to... Tu następowało wymienienie, przyciszonym głosem, rozstawionymi sylabami, tytułu książki sławnej już pisarki.

W moim rodzinnym mieście żyło i działało kilka autentycznych bohaterek narodowych. Na ich cześć w publicznych miejscach wmurowane były tablice pamiątkowe z popiersiami, ale nikt z mieszkańców mojego rodzinnego miasta nie odróżniał jednej bohaterki od drugiej. Trzeba powiedzieć na obronę moich rodaków, że prawie wszystkie te bohaterki pochodziły z tej samej, pozytywistycznej epoki, i ówczesna moda tak je do siebie upodobniła, uczesaniem, ubiorem, a nade wszystko idealistycznym, rozmarzonym spojrzeniem, że były one do siebie podobne jak kropla do kropli. A kto wie, może to się działo za sprawą miejscowego rzeźbiarza, który ułatwiał sobie pracę, posługując się zbliżonymi wariantami tego samego modelu kobiecej postaci.

Co do wariatów, to tych z łatwością można było odróżnić od siebie. W przeciwieństwie do pisarzy i bohaterów unikali oni sztampy. Każdy z nich miał swo

ją odmienną, silnie zarysowaną indywidualność.

Był ryży Łuka, który zwariował ucząc się na księdza. Można go było zawsze spotkać na którymś z licznych mostów z książką łacińską przysuniętą blisko krótkowzrocznych oczu.

Kiedy ktoś w naszej klasie napisał złe wypracowanie z łaciny profesor Pomidor wściekał się: — Zaraz widać, durniu, — krzyczał — że ci to napisał Łuka.

Dzisiaj, sprawdzając moje wiadomości z łaciny, rewiduję swój pierwotny pogląd na Łukę i zastanawiam się, kto z nich dwóch był większym wariatem, czy Pomidor, czy Łuka.

Wszyscy ci wariaci, jak to się mówi, mieli swój rozum, i to nie lichy. Pamiętam, na przykład, takiego Aleksandra, który stając w progu mieszkania mówił szybko: — Proszę parę groszy dla biedne-

go — i tłumaczył to zaraz na trzy języki, nie wiedząc do jakiego wszedł domu — polskiego, ukraińskiego, czy żydowskiego. Kiedy go pytano: — Na co ci pieniądze, Aleksandrze? — odpowiadał śmiało: — Na czekoladę.

Nikt mu nie wierzył, ale nie był to tylko wariacki wymysł, Poły je

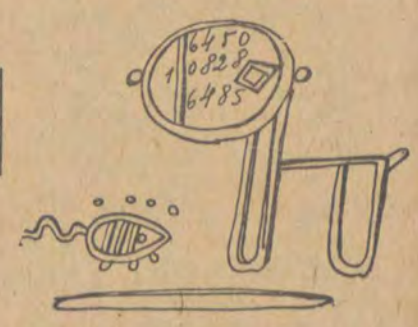

go czarnego chałata wypchane były czekoladkami „Anglas", które słynęły z wyśmienitego smaku, pięknego opakowania i dokładanych do nich serii obrazków zwierząt i ludzi.

O Aleksandrze można powiedzieć, że był to wariat, który się szanował, jak mało który rozsadny człowiek.

Inny znów nieszczęśliwiec, Wielki Myśliwy, chodził dumny, obwieszony rapierami, paskami i skórkami, w płowym mundurze powstańca z sześćdziesiątego trzeciego roku, podnosząc wysoko nogi, niby paw. Wyglądał jak ekshumowany symbol wszystkich polskich powstań, polowań i wojen

jednocześnie. Stawiał kroki wyprostowany, surowy jak zjawa, której się nie zapomina.

Do dziś dnia zastanawiam się nad tym, czy istniał naprawdę, czy to tylko mój wymysł. Żałuję, że nie próbowałem go nigdy dotknąć, aby się o tym przekonać i przekonanie to zostawić na później. A zresztą, może nawet tego nie żałuję. Byłem go się przecież wówczas panicznie, aczkolwiek byłem zawsze odważnym chłopcem. A nuż okazałoby się, że nie istnieje, co byłoby wtedy?

Ale nie martwmy się — wszystko co rzeczywiste staje się kiedyś zjawą. Moje rodzinne miasto, w którym nie byłem już chyba lat z dwadzieścia, też powoli zamienia się w zjawę, wymyka się z granic rzeczywistości, choć nadal figuruje na mapie i nazwę jego można znaleźć w każdym rozkładzie jazdy kolejowej.

Może kiedyś wsiądę w pociąg, może wsiądę i pojadę do mojego rodzinnego miasta.

Nie znajdę już w nim na pewno tych starych, wielkich ludzi i starych, wielkich wariatów. Dziś są już tam na pewno nowi i więksi i nowocześniejsi.

Ale powiedzcie, moi drodzy, kto nie kocha swojego rodzinnego miasta, jego rzeki, jego mostów, jego kanałów, nawet jeśli z nich śmierdzi? Kto nie kocha jego parków, jego zieleni, nawet, jeśli jest trująca?

Nie wieszajmy zatem nigdy psów na swoim rodzinnym mieście, psów, które, pamiętam jak dziś — tak obficie włóczyły się po mrocznych uliczkach mojego rodzinnego miasta.

Rysunki autora.

ŚMIEJMY SIĘ, bo nigdy nic nie wiadomo...

W letnie ciepłe wieczory przyjemnie jest się pośmiać. Na szczęście dano nam po temu okazję. Możemy iść do kina i obejrzeć dwie (nie naraz, nie naraz, wieczorów jest dużo) urocze komedie. Bardzo zresztą różne od siebie. Mają jednak to wspólne, że są dobre i inteligentne i, co tu dużo mówić, adresowane do inteligentnej publiczności. Fakt ten nie powinien nikogo odstraszyć, wręcz przeciwnie. Idźcie tedy i obejrzyjcie, jeśli do tej pory tego jeszcze nie uczyniliście „Mysz, która ryknęła" Jacka Arnolda i „Zalotnika" Pierre Etaix. Obydwie są różne, nawiązują bowiem do zupełnie odrębnych tradycji. „Mysz, która ryknęła" kroczy szlakiem najlepszych komedii angielskich, ale nie bez wpływów czysto amerykańskich (bo to i Mark Twain z jednej strony i „Francis muł, który mówi" z drugiej). Zalotnik natomiast zbliża się wyraźnie do tradycji niemej burleski, czerpiąc po trosze i z Maxa Lindera i z Chaplina, a nie zapominając przy tym i o Jacques Tati (choć to już nie niema burleska). „Mysz, która ryknęła" jest satyrą. Satyrą na politykę amerykańską i na politykę dzisiejszą w ogóle. Fabuła wydaje się absurdalna. Nie dajmy się jednak zwieść pozorom. To świat, w którym żyjemy jest absurdalny, o tym właśnie ze smutkiem acz dowcipnie przekonują nas realizatorzy filmu, nie oszczędzając po drodze nikogo i niczego. Nawet marynarki Jego Królewskiej Mości i w ogóle imperium brytyjskiego, ale to już na zasadzie wiekowej przyjaźni amerykańsko-angielskiej. Czego w tym filmie zresztą nie wykpiono: i system demokracji, i opozycję polityczną i naukę współczesną, i patriotyczne hasła, i polityczne frazesy, i wojnę. W pewnym tylko momencie Arnold przerywa znakomitą zabawę i mimochodem pokazuje unoszący się nad światem grzybek atomowy. A potem znów bawimy się dalej perypetiami **wybrakowanej** bomby i jej „czysto" amerykańskiego twórcy. Igraszki z bombą przypominają igraszki swawolnych dziatek z piłeczką. Tylko że istnienie tej piłeczki sprowadza całą naszą egzystencję do absurdu. Wszystko zależy już teraz od przypadku, bo swawolnym i głupim dziatkom wymyka się władza nad piłeczką. Nawet sam wielki uczony i wynalazca nie może dać sobie rady z sympatyczną bombką. I tak oto bomba Q (a w niej mała myszka) rządzi sobie światem. Film budzi więc refleksje melancholijne ale dopiero potem. W czasie projekcji bawimy się doskonale, i odczuwamy niemało satysfakcji. Nic bowiem bardziej przyjemnego niż móc sobie raz a dobrze pokpić z czegoś, do czego na co dzień winniśmy się odnosić z należytym szacunkiem i powagą. A że przy okazji śmiejemy się z samych siebie? To nigdy nie zaszkodzi. W „Myszy, która ryknęła" ogromną rolę odgrywa dowcip słowny, połączony z odpowiednią sytuacją. Komizm filmu wynika właśnie najczęściej ze zderzenia warstwy słownej z określoną sytuacją. Niestety, tłumaczenie tekstów nie zawsze oddaje ducha oryginału. Byłoby wielką niesprawiedliwością gdybyśmy nie wspomnieli jeszcze o znakomicie dobranych kolorach, podkreślających ironiczny charakter narracji, no i o świetnej, potrójnej kreacji Petera Sellersa. Osobiście podobał mi się najbardziej jako księżna Gloriana XII. Z jego oblicza biło w sposób właściwy wszystkim panującym, tyleż głupoty co godności. W pozostałych rolach był równie głupi, ale — jak się potem okazało — w pewnych warunkach najgłupszy może okazać się najmądrzejszym.

O ile w „Myszy" śmiejemy się głównie, jak już powiedziano, z siebie i z najlepszego z bliżej znanych nam światów, to w „Zalotniku" śmiejemy się z bohatera i jego przygód z przedmiotami i ludźmi. Film składa się właściwie z epizodzików, które w sposób niezobowiązujący łączy dość luźna fabuła. Te epizodziki mniej lub bardziej zdecydowanie przypominają stare, nieme burleski filmowe (chodzi oczywiście o stosowane gagi). Bohater wytworny i nienagannie ubrany jak sam Max Linder, popada w stałe konflikty ze światem martwych przedmiotów (do których należą nawet ludzie, jak w przypadku pijanej dziewczyny). Jego nieprzystosowanie do obowiązujących konwencji sprawia, że wszystko wychodzi mu na opak i wywołuje nieoczekiwane skutki. Film jest przeładowany różnymi przedmiotami i to przeważnie stylizowanymi (antyczne meble, zegary, staromodne stroje itd.). Obecność bohatera wprawia je w ruch, ruch baletowy oczywiście. Ładnie dobrana i też stylizowana muzyka podkreśla ową baletowość. Osobną rolę odgrywa w tym filmie dźwięk. Etaix wykorzystał tu bez wątpienia doświadczenia Tati. Warstwa dźwiękowa jest niesłychanie rozbudowana. Także i słowo ma charakter raczej czysto dźwiękowy niż semantyczny. Bohater prawie nic nie mówi. Rozmowy ze Szwedką polegają na ciągłych nieporozumieniach, jako że do obu stron nie dociera sens wypowiadanych słów. Gadanina sąsiadki jest również bez znaczenia. Ważną jest intonacja i wysokość głosu. Liczą się w filmie właściwie tylko 2 zdania (i to jedno niedokończone). Podobnie jak Tati, Etaix ujawnia nieprzydatność języka w porozumiewaniu się ludzi, jego konwencjonalność, odbierającą mu wszelki sens. „Zalotnik" obfituje w dużo pomysłowych gagów i jest filmem bardzo zabawnym. Na pewno stanowi jakiś krok naprzód w dążeniu do odświeżenia współczesnej komedii filmowej. Odświeżenia poprzez sięgnięcie do dawnych tradycji. Zresztą zamierzony anachronizm filmu, widoczny nawet w stylizacji zdjęć, jest jego dodatkowym urokiem. Dlatego moi mili, jeśli chcecie się pośmiać z morałem i bez morału, to śpieszcie obejrzeć te dwie urocze komedie, o ile tego jeszcze nie uczyniliście.

Maria Kornatowska

fraszki jana Czarnego

Z HISTORII

Obroną konstabla
nie pochwa, lecz szabla.

POD NAMI TEŻ...

— Pod nami też, niestety,
kopie ktoś — skarżą się krety.

Ręce do góry – mówi ALFRED HITCHCOCK

Pytanie: Jaki będzie Pański następny film?

Odpowiedź: „Jego tytuł brzmi: „Trzej zakładnicy", według powieści Johna Buchana. Jest to ten sam autor, który napisał „39 stopni". Temat? Pewien kraj chce zlikwidować terroryzującą go mafię. W odpowiedzi mafia porywa troje dzieci spośród najbardziej poważanych rodzin. Gangsterzy ukrywają gdzieś te dzieci, uprzednio je zahipnotyzowawszy, tak, że w samolocie, który je uwozi robią wrażenie najzupełniej normalne. Pewna część filmu zostanie zrealizowana na fantastycznym cmentarzysku statków przeznaczonych na złom, na rzece Hudson. Jeden z tych statków zaczyna leciuteńko dymić — może to tam ukryte są dzieci? Napięcie.

Pytanie: Dlaczego pan tak lubi straszyć?

Odpowiedź: Bo ludzie, to lubią. Kiedy porządnie nastraszę widzów w kinie, wtedy wychodzą roześmiani. Gdybym porzucił moje zbrodnie, czułbym się jak wegetarianin.

Pytanie: Który z pańskich filmów najbardziej Pana cieszy?

Odpowiedź: Nigdy nie uzyskuje się więcej niż 75% pożądanego efektu. Pisarz tworzy swoją postać: on ją widzi, to jest to czego chciał. Realizator musi „skomponować" to samo z udziałem aktorów, i musi się liczyć z ich indywidualnością. Cary Grant, na przykład, jest indywidualnością. Mój stary film „Szampan", realizowany zresztą bez scenariusza, napełnia mnie dziś wstydem. Lubię natomiast „W cieniu podejrzenia" — napięcie, wykonawcy, atmosfera — wszystko jest takie, jak chciałem. Lubię zresztą kiedy ludzie mówią, że moje filmy nie są złe... Poza tym, bawię się doskonale realizując moje filmy. To kwestia poczucia humoru. Gdybym go nie miał, nie mógłbym zrobić takiego filmu, jak „Psychoza".

Pytanie: Dlaczego współpracuje pan tylko z bardzo znanymi aktorami?

Odpowiedź: Publiczność dużo bardziej interesuje się tym co się zdarza Cary Grantowi, Jamesowi Stewartowi, Kim Novak, czy Doris Day niż osobom obcym i nieznanym.

☆

Są to fragmenty wywiadu, udzielonego przez Hitchcocka w okazji pobytu w Paryżu. Wydaje nam się, że ten poczciwy grubas, bawiący się tak chętnie w „Czarnego Luda" jest postacią dostatecznie interesującą i sympatyczną na to, aby mu poświęcić nieco więcej niż zwykle uwagi.

ŁĘCZYCA

ODJAZDY: Pociągiem z Dworca Kaliskiego o godz. 7.20, 8.26, 9.32. Bilet drugiej klasy pociągu osobowego kosztuje 14 zł 40 gr.

CO OBEJRZEĆ: zachowane fragmenty zamku zbudowanego przez Kazimierza Wielkiego. W części mieszkalnej zamku mieści się muzeum. Odległy o niecałe 3 kilometry Tum — największą w Polsce świątynię romańską (XII wiek). Idąc do Tumu należy wyjść z miasta w kierunku wschodnim. Po przekroczeniu mostu na Bzurze dalszy kierunek wskażą widoczne z daleka wieże Kolegiaty.

GDZIE ZJEŚĆ: restauracja-bar — Rynek Kościuszki. Bufet dworcowy. Wyjeżdżając do Łęczycy najlepiej jednak zaopatrzyć się we własny prowiant, bo zakład gastronomiczny jest w Łęczycy właściwie jeden. Są co prawda prywatne, ale na przedmieściach trudno je znaleźć.

PAMIĄTKI: W kioskach „Ruchu" (pocztówki), w Oddziale PTTK — Powiatowy Dom Kultury, ul. 1 Maja 11 (foldery), w Muzeum (przewodniki).

HISTORIA: Wzmianki o Łęczycy spotykamy już w XI wieku. Była siedzibą ważnych urzędów państwowych oraz miejscem zjazdów i sejmików. Prawo miejskie otrzymała w wieku XIV. Dziś jest stolicą powiatu i liczy ponad 8 tysięcy mieszkańców.

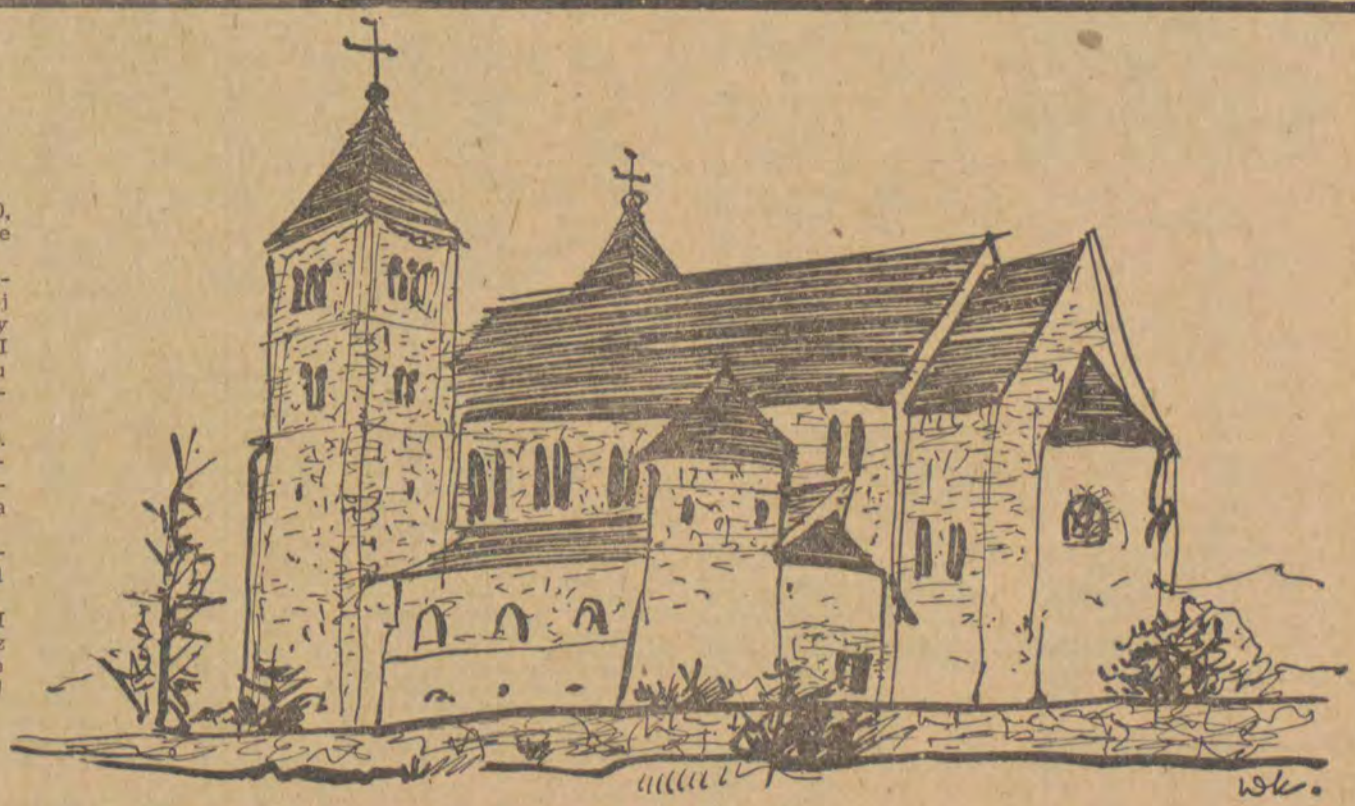

ANDRZEJ NADOLSKI

Aleja Karczochów

KARCZOCHY są szarozielone, strzępiaste, szeroko rozsiadłe. Aleja, która od nich wzięła nazwę — nie imponuje rozmiarami. Prawdę powiedziawszy jest to po prostu ścieżka, przecinająca ogród warzywny Madame Lombard. Ale ścieżka ta wiedzie do drzwi plebanii opuszczonej od lat (częsty to wypadek we Francji), a w plebanii zakwaterowało się ostatnio sześciu polskich archeologów (wypadek dotąd we Francji niespotykany).

Przybyliśmy tu do Langwedocji w wyniku porozumienia pomiędzy paryską Ecole Pratique des Hautes Etudes a Polską Akademią Nauk. Zadanie nasze — to poszukiwanie osad wiejskich, przede wszystkim średniowiecznych. Badania nad takimi osadami to najnowsza pasja archeologii zachodnioeuropejskiej. Szczególnie Anglicy poświęcili im wiele starań; mogą też pochwalić się pięknymi rezultatami. Francuzi pozazdrościli Anglikom, ale... okazało się, że archeologia francuska zainteresowana głównie epoką gallo-rzymską, albo też jeszcze dawniejszymi czasami, nie dysponuje odpowiednią liczbą znawców średniowiecza. Tych znowu mamy pod dostatkiem w Polsce, dzięki trwającym od lat badaniom nad początkami Państwa Polskiego. Tak oto doszło do polsko-francuskiej współpracy naukowej i do naszej obecności w Montaigut (pomiędzy Albi i Tuluzą).

Montaigut (w średniowiecznej łacinie „Mons Acutus") to po polsku po prostu „Ostra Góra". Z ostrością przesadzono, ale górą jest Montaigut niewątpliwie. Leży na pograniczu dwóch krain. Od północy — wysoczyzna pocięta licznymi parowami, rozczłonkowana na dziesiątki grzbietów, wzgórz i kotlin. Od południa — rozległa, płaska dolina rzeki Tarn. Z „Alei Karczochów", niemal sprzed progu naszej plebanii można śledzić każdy samochód na ruchliwej szosie z Tuluzy do Albi. Poza szosą czerwieniją dachy kilku sąsiednich miasteczek, jeszcze dalej widnieje drugi pagórkowaty brzeg doliny. Panoramę zamyka ogromny mur Pirenejów, płatami śniegów na skalnych szczytach i w głębiach lodowcowych „cyrków".

Ale ten surowy majestat wysokich gór jest daleki, trochę jakby nierzeczywisty; rzadko zresztą ukazuje się spoza mgieł przesłaniających horyzont. Natomiast najbliższe otoczenie Montaigut nie ma nic z majestatu i nic z surowości. Łagodnie zaokrąglone wierzchołki pagórków porastają niewysokimi laskami dębów i akacji, pełnymi bluszczu i kwitnącego żółto żarnowca. Na stokach rozłożyły się winnice — najważniejsze bogactwo rejonu. Ich obszar to teren zamknięty dla badań archeologicznych, zbyt wysokie odszkodowanie trzeba by płacić za zniszczenie winnej latorośli, której uprawa wymaga wielkiego mozołu, a opłaca się dopiero w kilka lat po zasadzeniu szczepów. W dolinach zielenieją łąki, a rzędy wierzb i włoskich topoli znaczą bieg strużek spływających w stronę Tarnu. Przy miedzach i przy polnych drogach (przeważnie asfaltowych!) — migdały, orzechy włoskie i figi rosnące dziko, jak u nas maćkowe grusze. Gdzieniegdzie kępa pinii, lub smukłe, czarne sylwetki cyprysów przypominają o bliskości Śródziemnomorza. Nad tym wszystkim niebo czasem zachmurzone, przeważnie jednak bardzo błękitne i bardzo słoneczne. Wszędzie pełno barwnych motyli i śpiewających ptaków. Nigdy jeszcze żaden z nas nie słyszał takich koncertów słowiczych, jak właśnie tu, w Langwedocji.

A jednak ten kraj pogodny i uśmiechnięty stał się niegdyś kolebką dziwnej wiary, która kwiaty, drzewa, motyle i ptaki uważała za dzieło diabelskie. Langwedockich Katarów z XII—XIII w. (zwanych też Albigensami, od miasta Albi) uważamy zazwyczaj za sektę chrześcijańską. Ich zniekształcona nazwa „kacerzo" stała się pospolitym określeniem heretyków. W rzeczywistości chodziło o wyznanie, które z chrześcijaństwem niewiele miało wspólnego. Jego rodowód poprzez bułgarskich Bogomilców i poprzez Manichejczyków, współczesnych pierwszym wiekom Kościoła, sięgał Mazdeizmu, starożytnej religii perskiego Iranu. U podstaw tych wszystkich wierzeń leżało przekonanie o jednoczesnym istnieniu dwóch, niemal równoważnych potęg nadprzyrodzonych: dobrej i złej, Boga i Szatana. Wszystko co materialne — twierdzili Katarzy — to twór szatański, przeklęty, nawet ciało ludzkie; tylko dusza pochodzi od Boga i może do Boga powrócić oczyszczając się stopniowo przez liczne, kolejne wcielenia i zgony. Niektórzy przywódcy katarscy („katharos" znaczy właściwie czysty) przyśpieszali ten zbawienny proces przez dobrowolną głodową śmierć.

Mimo całej swej surowości kataryzm szerzył się w XII w. w Langwedocji nad podziw szybko i to bynajmniej nie tylko wśród słabych i pokrzywdzonych, mających konkretne powody, aby dopatrywać się śladów szatańskich w porządku tego świata. Sprzyjali posępnemu wyznaniu bogaci i dumni ze swych swobód mieszczanie z Tuluzy, Albi, Beziers i Carcasonne. Sprzyjało mu drobne rycerstwo, liczne na południu Francji. Udzielały mu poparcia potężne rody miejscowych możnowładców, którzy zresztą jednocześnie otaczali opieką poetów — trubadurów głoszących radość życia i chwałę miłości. Nawet hrabiowie Tuluzy panujący udzielnie nad całą niemal Langwedocją okazywali Katarom przynajmniej półoficjalną przychylność. Co prawda niełatwo dociec ile w tym było rzetelnego przekonania, a ile nadziei na podział bogatych dóbr klasztornych i biskupich.

W każdym razie narastał nieuchronny konflikt z Kościołem katolickim, rządzonym właśnie twardą i sprawną dłonią Innocentego III. Po daremnych próbach porozumienia przyszedł jawny rozłam, skrytobójcza śmierć papieskiego legata i jako jej bezpośredni skutek — krucjata na Albigensów.

Ponure to dzieje, jak zwykle tam, gdzie w jeden splot połączy się fanatyzm ideologiczny z nienawiścią plemienną i żądzą zysku. Krucjata natychmiast zamieniła się w wojnę, ściśle, francuskiej Północy z Południem, które zachowywało swą odrębność od niepamiętnych czasów, poprzedzających nawet rzymski podbój Galii. Możni panowie, rycerze i zwykła chciwa łupu gołota z Ile de France, Normandii, Burgundii, Flandrii, Lotaryngii zgodnie ruszyli na zdobycie bogatego kraju nad Morzem Śródziemnym. Nie bez przyczyny wypadki rychło wyniosły na czoło najeźdźców Szymona de Montfort, mało znanego rycerza Północy, łączącego w jednej osobie talenty wybitnego wodza z iście konkwistadorską chciwością i okrucieństwem. Atmosferę wojny dobrze oddają słowa, jakie miały paść z ust opata Arnolda — Amalryka z Citeaux podczas szturmu Beziers: „Zabijajcie wszystkich, nie troszcząc się kto Katar kto Katolik, Bóg już tam rozpozna swoich!". Nie jest pewne czy te straszne słowa są faktem historycznym, czy tylko legendą, ale w Beziers zabito naprawdę wszystkich, podobno około 20.000 ludzi...

W ciągu kilkudziesięciu lat wojennej zawieruchy upadła bezpowrotnie świetność Południa, upadła jego wspaniała, rodzinna kultura. Pozostał charakterystyczny miejscowy dialekt „Langue d'oc", język w którym „tak" brzmi właśnie „oc" (ok), a nie „oui" jak w klasycznej francuszczyźnie Północy.

Cóż jednak wspólnego mają te odległe sprawy (opowiedziane zresztą w niebezpiecznym skrócie!) z polskimi archeologami we Francji? Otóż mają. W czasie wojen katarskich zniszczony został zamek w Montaigut, a na jego miejscu powstała osada wiejska, ta właśnie której śladów szukamy. Czy je znajdziemy? Czy uda się nam dorzucić garść nowych szczegółów do historii francuskiej wsi w średniowieczu? Za wcześnie na odpowiedź. Jakby jednak nie było zapisujemy nową, choć skromniutką kartę w dziejach stosunków polsko-francuskich. Jak wiadomo, w bliższej i dalszej przeszłości przybywali nad Sekwanę, czy choćby nad Tarn głównie polscy górnicy i pracownicy rolni, a także fachowcy od zagadnień wojskowych; ci ostatni zresztą w szczególnych i nie najweselszych okolicznościach. Nadwiślańscy eksperci w zakresie nauk historycznych są raczej rzadkością w tym kraju. To taki dodatkowy urok archeologii.

Półka z książkami

„TRAMPOLINA"

Bohatera tej książki poznaliśmy już wcześniej. To on przekazywał nam wiedzę o obyczajach, prawach, zasadach, jakimi rządzi się świat „Benka Kwiaciarza". Poprzez jego reakcje, w ramach jego przemyśleń i — co najważniejsze, w toku jego właśnie doświadczeń poznajemy zamknięty hermetycznie klan Izy Leniwej, Księcia Nocy, Nawiślaków, Krwawej Adeli. Dalsze doświadczenia wiodą naszego bohatera po przez etapy „Silnej gorączki". To nieważne, że dopiero tutaj Krzysztof pojawia się niejako „osobiście", że najlepsze fragmenty „Silnej gorączki" pisane są „w pierwszej osobie". Bo to jest przecież ten sam narrator, który wiódł nas w złodziejsko-lumpenproletariackie okolice „Starego złodzieja" i „Benka kwiaciarza".

To więc jest punkt wyjścia. Wbrew pozorom — nie fascynująca egzotyka środowiska, nie setki błyskotliwie podpatrzonych realiów, nie złodziejsko — paserski slang i nieznana obyczajowość podwarszawskich przedmieść stanowi o randze pisarstwa Nowakowskiego. Jest to dopiero warstwa zewnętrzna, ciekawa — lecz nie najistotniejsza. Tę rangę daje dopiero — mówiąc najogólniej — portret psychiczny Krzysztofa, tego Krzysztofa, który przeprowadzony przez teren Benka i Izy dotarł wreszcie do kręgu wyznaczonego „Silną gorączką".

I otóż — w nowej powieści Marka Nowakowskiego, w „Trampolinie", spotykamy Krzysztofa z okresu wcześniejszego. Tytuł pierwszego rozdziału „Trampolny" brzmi „Początek" — i jest to właśnie książka o Krzysztofie początkującym, o jego pierwszym wejściu w sprawy Zenona Nerdy, Inżyniera, Szklarza, Zakapiora. I już — pojawiają się sygnały, które później doprowadzą go do etapu „Kotła" czy „Popapranza".

Bo Krzysztof z „Trampoliny" przeżywa klęskę nie tylko dlatego, że „skok nie wyszedł" i książka kończy się sceną aresztowania. Jego klęska jest większa — świat, w który wszedł okazał się tak samo nieciekawy i nudny jak spokojny, mieszczański świat uczniaka. Prysnął mit „miasta", z melin Naśki powiało straszliwą nudą.

Gdzie, w jakim miejscu spotkamy Krzysztofa ponownie?

A. G.

Marek Nowakowski „Trampolina", wyd. Czytelnik str. 165.

NARESZCIE ACHMATOWA

Czytelnicy poezji długo czekali na pełniejszy zbiór wierszy znakomitej poetki rosyjskiej — Anny Achmatowej. Co prawda w ostatnich latach mieliśmy sporo publikacji — tłumaczeń jej wierszy w prasie literackiej, mogliśmy też czytać wiersze Achmatowej w różnego rodzaju antologiach poetyckich, ale brakowało nam bardzo pełniejszego wydania, które przyniosła nam „celofanowa seria" PIW. O zainteresowaniu wierszami Achmatowej może świadczyć fakt, że ledwie zbiorek ukazał się na półkach księgarskich, a już — w śródmieściu Łodzi przynajmniej — trudno te książkę otrzymać.

Poezja Achmatowej zaczyna się niejako od buntu przeciw symbolizmowi — buntu w sensie przeciwstawienia mu własnych propozycji artystycznych, zastosowania w poezji nowych środków wyrazu. Zaczęło się to w latach 1912—1913. Co przeciwstawiali „akmeiści" do których dołączyła Achmatowa — symbolistom? Przede wszystkim bardziej realistyczny, bardziej sensualistyczny obraz świata.

U Achmatowej konsekwencją tego rodzaju widzenia nie był jakiś racjonalistyczny obraz świata poetyckiego. Jest ona niewątpliwie związana z nurtem romantycznym poezji rosyjskiej, choć korzystała niewątpliwie z arsenału środków wypracowanych przez poetów racjonalistów, poetów klasycyzujących. Dlatego też jej poezja choć pełna emocji — jest klarowna, czysta. Dyskursywność jej wierszy nie razi. Można to odnieść szczególnie do erotyków — tak kobiecych i szczerych, a jednak innych od wszystkiego co napisano. Trudno byłoby porównać Achmatową z jakąkolwiek inną poetką. Te wiersze nie noszą w sobie nic — „literackiego" — zdają się być przetransponowaniem uczuć bezpośrednio na papier.

W poezji tej z lirykami i erotyką sąsiaduje też nurt historyczny, ale historia jest tu ukazana przez pryzmat doświadczenia osobistego, co czyni wiersze pełnymi urody, urody poezji pisanej właśnie przez kobietę. W wierszach które powstały w ciągu ostatnich lat można zauważyć zmianę — więcej refleksji, filozoficznego zamyślenia. Można dodać, że najbardziej podobają się wiersze przekładane przez kobiety-poetki — choć innym przekładom też nie można by stawiać zarzutów. Dobrze się stało, że otrzymaliśmy ten tom — w bogatej panoramie poezji radzieckiej Achmatowa zajmuje przecież niepoślednie miejsce — pokusilibyśmy się nawet powiedzieć w panoramie poezji światowej.

JHW

Anna Achmatowa „Poezje". Opracował i wstępem opatrzył Seweryn Pollak. PIW 1964 r. str. 154, cena 15 zł.

SIÓDME PIĘTRO

Róża Ostrowska debiutowała przed paroma laty książką „Wyspa", której zaletą było to, że banalny temat — wakacyjny romans młodej mężatki z prostym chłopcem — tchnął powściągliwością i świeżością. To była dobra książka — zapowiedź, miała przychylną prasę, dlatego zbiorek „opowiadań" „Siódme piętro" przynosi tym większe rozczarowanie. Wbrew zapowiedzi na skrzydełku — nie są to opowiadania, a raczej, luźny, niejednolity w fakturze literackiej, nieskomponowany materiał prozatorski, którego źródłem są wrażenia z paromiesięcznego pobytu stypendialnego autorki we Francji, głównie w Paryżu.

Impresja ze spotkania w samolocie z kobietą, która wyjeżdża na zawsze do Kanady, relacja studentki Polki, która, aby zarobić na studia lub po prostu posiedzieć trochę w Paryżu, godzi się do mieszczuchów francuskich na tzw. pomoc domową, impresja z kolacji u Francuzów z próbą sensacyjno-politycznego wątku, szkice ze spotkania z eks-koleżanką w polskiej knajpce „Bartek", obrazki z życia wąskich grup emigracyjnych i ostatnie najsłabsze „opowiadanie", zakończone zresztą fatalnym kiksem patriotycznym, a próbujące być to rodzinnym pamiętnikiem, to zapuszczające się na tereny beletryzacji — oto kilkadziesiąt stron prozy nikle zbeletryzowanych, raczej reporterskich, nie wnoszących żadnego świeżego materiału poznawczego, ani większych wartości literackich, której to obróbce mógłby ten materiał ulec, by ewentualnie zafascynować poza poznawczymi walorami pióra autorki.

„Siódme piętro" trzeba chyba przyjąć jako pokwitowanie pobytu stypendialnego. Temat „druga polska emigracja" jest trudny, prowokuje i do deklaratywności i do uników. Lepiej sobie poradził z tym zagadnieniem kiedyś Kazimierz Brandys, ostatnio — inaczej — Odrowąż-Pieniążek. Może po prostu na beletrystyczne ujęcie — temat emigracji musi się uleżeć, ucukrować, a chyba najistotniej, najpełniej mogą ująć go ci, którzy w nim tkwią latami, mając sposobność głębszych, nienaskórkowych obserwacji.

W. K.

Róża Ostrowska „Siódme piętro" Wydawnictwo Morskie, 1964.

ZBIGNIEW PĘDZIŃSKI

DO „KRYMINAŁÓW" PANOWIE

Uwielbiam powieść kryminalną za jej optymizm, nieledwie radość życia. W literackich „kryminałach" dzieje się przecież na odwrót niż w prawdziwym kryminale — wszystko tu się źle zaczyna, ale dobrze kończy. Więc zmyślny włamywacz wędruje przykładnie do więzienia, perfidny morderca popełnia samobójstwo, strudzony Sherlock Holmes zasypia w fotelu, syt tryumfu i chwały, a nawet wybladłej od prób szantażu i uwiedzenia piękności udaje się wyjść za mąż, jeśli nie za doktora Watsona, to przynajmniej za angielskiego lorda. Cóż może być radośniejszego niż zaspokojona żądza sprawiedliwości? — a „kryminał" syci ją jak manna kaszka na mleku, słodko i skutecznie.

Tym silniej boli mnie i mierzi gorycz polskiej powieści kryminalnej. Nie piołun, sypiący się ze stronic, pracowicie zapisywanych przez Joe Alexa, bądź Dominika Damiana — broń Boże! Kartki polskich kryminałów od dawna przecież ociekają nie tyle krwią, ile wodą, posłodzoną lukrem, zaróżowioną lakierem z pisarskich paznokci. Na oko — jeden to więcej powód do radości, społecznej radości, wyprodukowanie książki z tak powszechnie dostępnego w kraju surowca nie kosztuje przecież autora zbyt wiele czasu i zdrowia, które można zaoszczędzić na utwory „z prawdziwego zdarzenia", publikowane pod własnym, polskim nazwiskiem, a nie pod z cudzoziemska brzmiącym pseudonimem. Natomiast trzydzieści tysięcy egzemplarzy, w jakich powiela się u nas powieści kryminalne, sowicie opłaca się w złotówkach pisarzowi i wydawcy. Czy jednak — i tu dochodzi do głosu nareszcie mój pesymizm — opłaca się równie poczciwie czytelnikowi?

Kiedy w roku 1960 rozpoczynałem na łamach „Nowej Kultury" dyskusję, a raczej lament nad polską dolą „kryminału" — łudziłem się, że zyskiem takiego rozdzierania szat będzie przynajmniej społeczna kuratela, kontrola nad tak poczytnym gatunkiem literatury. Wyobrażałem sobie mianowicie, że krytycy i recenzenci raczą poświęcić nieco uwagi, pasji i animuszu co trzeciej książce takiego Joe Alexa, który — trudno ukryć — rywalizuje dziś coraz skuteczniej w wędrówce pod strzechy jeśli nie z Mickiewiczem, to na pewno z Kochanowskim. Trudno bowiem ukryć i to — pisałem w onym roku 1960 — że na powieści kryminalnej może się zacząć, ale i może się skończyć, wyczerpać, znajomość czytelnika z literaturą. Że — innymi słowy — od tego, jakie powieści kryminalne czyta się pod szkolną ławką, w pociągu czy tramwaju, dla zabicia czasu, dla odprężenia nerwów, do poduszki — zależy w znacznej mierze niebagatelny społecznie i kulturalnie fakt, jakie książki czytać się będzie poza „kryminałami". Jeśli się w ogóle czytać będzie.

Fakty te to niby oczywiste truizmy, aż wstyd powtarzać, a mimo to stos powieści kryminalnych, które nie doczekały się żadnej krytycznej noty (trudno za taką uważać reklamowy anons w „Przekroju"), rośnie z kwartału na kwartał, z roku na rok. Stos rośnie, chociaż ilość wydawanych „kryminałów" spada. W życiu literackim nie obowiązuje jednak na ogół prawo naczyń połączonych — więc mimo spadku ilości jakość wydawanych „kryminałów" nie podniosła się nawet o paznokieć. Bo na to trzeba ciśnienia presji społecznej, opinii literackiej — a tego właśnie brak.

A może sprawa jest z natury beznadziejna, przegrana — może do istoty publikacji „kryminałów" należy produkcja i dystrybucja „bubli"? Przepraszam — przyjrzyjmy się wydawanym u nas tłumaczeniom powieści kryminalnych. Ich wartość literacka stale zwyżkuje, ich autorzy są poddawani mądrej i konsekwentnej selekcji — chyba dlatego, że dewizy na honoraria autorskie mniej łatwo i bezpiecznie wyrzucać za okno niż złotówki. Co prawda i wobec tłumaczonej powieści kryminalnej nasi krytycy nie zaniedbali nabrać wody do ust i wiecznych piór. Dość powiedzieć, że Agata Christie (która zażyłością z masowym, polskim czytelnikiem skutecznie dziś konkuruje z Kraszewskim) nie doczekała się dotąd poważniejszego opracowania, rozbioru krytycznego, swego niewątpliwego talentu i jeszcze bardziej niewątpliwej popularności. Można jednak pogodzić się z tym faktem, jeśli i tak z miejsca odosobnienia, na jakie wysłali autorkę „Dziesięciu murzynków" nasi krytycy, wyciągnęli Agatę Christie polscy czytelnicy.

Nie można natomiast pogodzić się z brakiem takiego miejsca dla polskich autorów „kryminałów". W myśl zasady „lepiej późno niż nigdy" wnoszę więc o utworzenie dla nich kryminału, w którym odsiedzą oni — bez zawieszenia i amnestii — swoje literackie błędy i wypaczenia, wyrepe rują pod okiem niezasypiających swoich obowiązków dozorców-krytyków pisarskie warsztaty, poczują ciężar odpowiedzialności za brak odpowiedzialności wobec czytelników. Któreż z pism — pytam z lżawą nadzieją — udzieli bodaj pół szpalty na takie miejsce odosobnienia, obrachunku i pokuty?

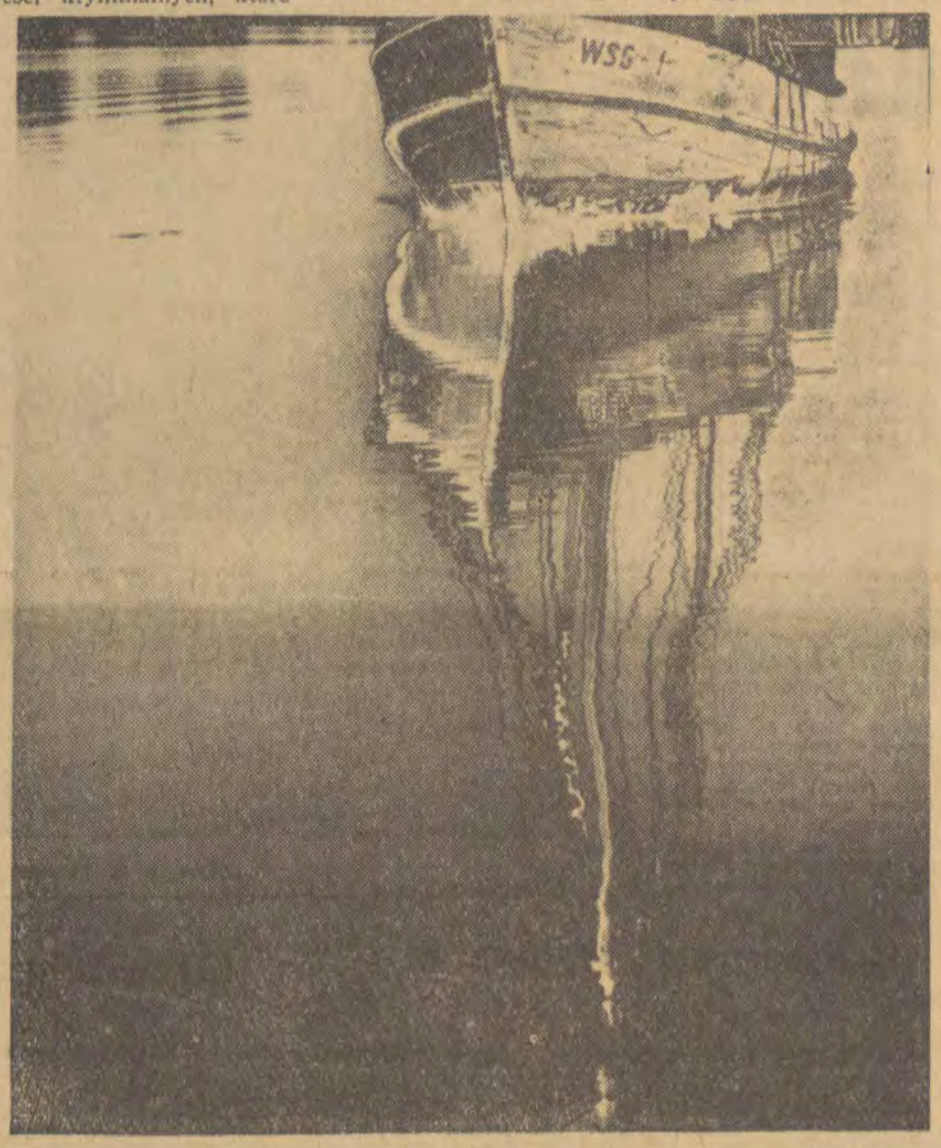

„Kuter" — Adam Idziński

ŚWIEŻAWSKI o GROTTGERZE

Artur Grottger, malarz powstania styczniowego, tak sławiony w okresie Młodej Polski, jest dziś raczej postacią zapomnianą. Należy więc z uznaniem powitać fakt, że Ludwik Świeżawski poświęcił mu swoją ostatnią powieść „Cień obok światła" (Wyd. „Pax", Warszawa 1963). Zainteresowania życiem i twórczością Artura Grottgera nie wydają się u Świeżawskiego przejściowe. Wcześniej już ogłosił zbiorek wierszy pod znamiennym tytułem „Sosna Grottgera", a jak mówił mi niedawno, zamierza napisać dwa dalsze tomy, w których opowie losy bohatera aż do końca. Tom, który mamy przed sobą, obejmuje bowiem tylko cztery lata z życia Grottgera (1858–1863). Są to lata spędzone przez młodego malarza za granicą, najpierw w Monachium, a później w Wiedniu. Grottger nie namalował jeszcze swoich najwybitniejszych obrazów, ale już gruntuje swoją sławę dwoma wybitnymi płótnami: „Sobieskim", który otrzymał nagrodę i „Ucieczką Henryka Walezego", budzącymi podziw i uznanie.

Ludwik Świeżawski zgromadził imponujący materiał biograficzny o Arturze Grottgerze. Z kart powieści wyłania się żywa sylwetka młodego malarza, zaledwie o parę miesięcy starszego od Jana Matejki, o jakże innym, niż on, usposobieniu. Matejko jest poważny, milczący, roztargniony jak profesor, Grottger to człowiek ruchliwy, towarzyski, wesoły. Widzimy Grottgera w pracowni, na ulicy, w piwiarni, w gronie kolegów i na wystawach. Widzimy go również w domu wraz z matką i siostrą, które przyjechały ze Lwowa do Wiednia na wspólne z nim zamieszkanie. Przyznam się, że inne miałem wyobrażenie o Grottgerze. Zawsze mi się wydawało, iż był to człowiek chmurny i posępny, jak jego obrazy i rysunki ukazujące sceny powstania styczniowego. Wolę, że Grottger, wskrzeszony przez Świeżawskiego, jest człowiekiem wrażliwym i czułym, ale nie upozowanym na symbol narodowego doloryzmu. Żywy człowiek, żywy artysta.

Powieść Ludwika Świeżawskiego napisana została w konwencji realistycznej (trudno zresztą wyobrazić sobie powieść tego rodzaju napisaną inaczej). Dzieje Grottgera umieścił autor na tle epoki, nie skąpiąc opisów o wydarzeniach politycznych i dając wgląd w panujące wówczas obyczaje. Szczególnie interesująco wypadły opisy Wiednia, atmosfery połowy ubiegłego stulecia, cyganerii, rozmów i zabaw. Stara stolica cesarska jawi się przed naszymi oczami serią ciekawych dobrze odtworzonych obrazów jej życia. Świeżawski zdołał oddać swoisty smak epoki z całym jej majestatem, staroświeckością i wdziękiem.

„Cień bez światła" nie jest powieścią dla wybranych. Jest to powieść dla wszystkich. Prosta i komunikatywna. Przeczytać ją może każdy, kto tylko czytać potrafi. Coraz trudniej o takie książki. O książki tak napisane. Od pewnego czasu jesteśmy świadkami książek pisanych jakby dla pisarzy, dla wąskiego kręgu wtajemniczonych w zawiłe arkana nowoczesnej prozy. Ta powieść napisana została dla czytelników. Niejeden pisarz zapewne pokręci nad nią nosem. Że niby taka zwyczajna, żadnych w niej cudów formalnych, żadnych niespodzianek. I chyba będzie miał rację ze swego punktu widzenia.

Ale ten punkt widzenia przy rozpatrywaniu powieści Ludwika Świeżawskiego jest nieprzydatny. Autor chciał napisać powieść o tym, jak w Grottgerze wraz z artystą rodzi się człowiek i patriota. I powieść taką napisał.

Jan Koprowski

Notatnik KULTURALNY

3—9 VIII. 1964 r.

PONIEDZIAŁEK

Równo sto pozycji poetyckich przyniósł miniony rok wydawniczy. Niedawno wpadł mi do rąk pięknie wydany przez Składnicę Księgarską katalog „Polska poezja współczesna — 1963". W księgarniach leży ten podręcznik wydawniczy pod ladami, na uboczu — a powinien być wyłożony na wystawach obok głośnych bestsellerów. Ponieważ lubię czasem pobawić się w wyliczanie — doszedłem, że na sto wydanych w ub. roku pozycji poetyckich 15 należy do poetów naszego miasta. Wśród pozycji katalogu przoduje oczywiście Warszawa, ale na przykład taki Kraków prezentuje się tylko ośmioma publikacjami swoich autorów, a Poznań — w swoim czasie gród poetów — poza publikacjami autorów z Koszalina, czy Białegostoku nie przedstawia ani jednego tomu ze swojego terenu. Jak więc widać, Łódź przejmuje od Poznania pałeczkę poetyckiej sztafety. Jeśli chodzi o ilość pozycji,

WTOREK

Najtrudniej być prorokiem we własnym kraju. Jeśli potrzebowano jakiegoś cacka jubilerskiego, jeśli potrzebowano np. wykonanych artystycznie łańcuchów rektorskich — zamówienia słano do Warszawy. Z reguły wyłamała się w tym roku Akademia Medyczna w Łodzi. Dwa łańcuchy rektorskie zamówiła bowiem w słynnej na całą Polskę, ale niestety, nie w Łodzi, Spółdzielni Przemysłu Ludowego i Artystycznego „Metaloplastyka". No i co? Zainteresowani będą mogli zobaczyć efekty w październiku na inauguracji roku akademickiego. Inne uczelnie zzielenieją z zazdrości.

ŚRODA

Wszyscy wiemy, że telewizor to kłopot na barki, ale wszyscy telewizory kupujemy. Wiemy, że telewizory psują się stanowczo za często, ale mimo to — zamiast usprawniać produkcję i zaostrzać kontrolę jakości — rozwijamy... sieć punktów naprawczych. Doszło już do tego, że od września posiadacze telewizorów będą mogli wykupić w punktach ZURT-u... abonamenty roczne upraw niające do gratisowej naprawy. Ludzie, opamiętajcie się! Nie stawiajcie problemu na głowie. Pomysł z abonamentami jest pomysłem ze świata nonsensów Sławomira Mrożka. Żeby już być w zgodzie z mrożkową atmosferą proponuję coś innego. Niech każdy posiadacz telewizora ukończy kurs. Tak jak właściciele samochodów.

CZWARTEK

Więcej takich książek! Więcej publikacji o trudach i paradoksach pierwszych lat władzy ludowej. „Kiedy Lublin był Warszawą" Leona Chajna, jest właśnie taką książką o kłopotach rządzenia państwem, książką naszpikowaną smaczną anegdotą (o pewnym ministrze kultury podejmującym gości... truskawkami z zsiadłym mlekiem) i rzetelną informacją o tworzeniu aparatu wymiaru sprawiedliwości. To były trudne i dziwne lata, kiedy ludziom bardziej zależało na przydziale butów niż na przydziale stanowiska. Takich książek winno być jak najwięcej. Wtedy łatwiej będziemy sobie mogli uzmysłowić ogrom drogi, jaką ma za sobą Polska Ludowa.

PIĄTEK

To na pewno nie sezon ogórkowy sprawił, że o wystawionych w Warszawie obrazach postyków rzeszowskich tyle się mówiło i pisało. Czytaliśmy niemal hymny pochwalne w „Kulturze", „Współczesności", czytaliśmy w popularnych dziennikach. Czy to prawda? Czy rzeczywiście 190 prac młodych malarzy z Rzeszowa prezentujących wachlarz od abstrakcji do realizmu, to coś niezwykłego w polskim malarstwie? Zobaczymy to w końcu sierpnia. Nasi plastycy postanowili sprowadzić tę wystawę do Łodzi. A tak prywatnie mówiąc, to nie są wcale plastycy rzeszowscy. Jak spojrzeć w katalog — sami absolwenci krakowskiej ASP. Po prostu podszywają się. A tak z duszy to krakowianie. Z artystycznej duszy,

SOBOTA

Co prawda to prawda. Rzadko zdarzają się pomyłki organizatorom „Spotkań z piosenką". Ale zdarzają się — o co zwłaszcza w upale i sezonie ogórkowym, nietrudno. Pomyłka, jaka dziś miała miejsce w parku Poniatowskiego nazywała się z polska po angielsku „O hej Harry" i mówi o szeryfach, Texasach, Arizonach, preriach, skrzyniach złota itp. Celniejsze fragmenty pieśni brzmią: „Zostaw Harry już ofiary swe i popróbuj moich ust", „Harry ciągle tkwi w strzemionach, broniąc cnoty różnych pań", a refren rozpoczyna się znakomitą wręcz frazą „O, hej, Harry, o hej jupi je". Wiem, że „masy pragną nucić szlagier, że „szlagieru trzeba im", wiem, że piosenka to nie poemat liryczny, że rządzi się innymi prawami, ale u licha, niech nie śmieszy wbrew zamierzeniom autora. Wiem, że „masy pragną nucić szlagier", ale czy koniecznie taki?

NIEDZIELA

Nie do wiary! Informacja wszechwiedzącego „Przekroju" wytrąciła mnie z równowagi. Irena Zarzycka — autorka popularnej przed wojną „Dziuni" mieszka w Łodzi, pracując jako bibliotekarka.

Pani Irena Zarzycka w jednej z łódzkich bibliotek służy literaturze — któż wiedziałby o tym, gdyby nie wścibstwo krakowskiego dziennikarza.

●

Niedawno rozwiązał się nad Łodzią wór z książkami Wydawnictwa Łódzkiego. Wór, to może za dużo powiedziane, ale w każdym razie spora torba. Minęła ogórkowa kanikuła — nowy wór powoli się napełnia. Otrzymaliśmy już opowiadania Jana Huszczy pt. „Kręgi", wkrótce otrzymamy nową powieść Leona Gomolickiego pt. „Kiermasz" oraz trzy poematy Jarosława Marka Rymkiewicza pod enigmatycznym tytułem „Animula". Jest jeszcze łany rarytas. Wydawnictwo Łódzkie przygotowuje 550-stronicowy tom „Rocznik Statystyczny m. Łodzi 1945—63". Książka ta — jedyna w swoim rodzaju — ukaże się jednak dopiero pod koniec I kwartału przyszłego roku. Myślę, że warto by przyspieszyć wydanie tego efektownego dzieła — dwudziesta rocznica wyzwolenia Łodzi kłania się.

Jerzy Wikarjasz

ŚCIANY MAJĄ USZY

Przedstawiam Państwu opowiadanie którego nie pozwolili mi zrealizować w TV

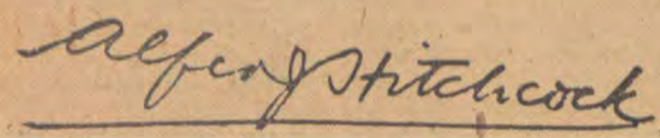

NIEKTÓRZY mówią, że zbrodnia nie popłaca, przestępca wraca na miejsce zbrodni, nie ma zbrodni doskonałej, co wydaje mi się śmieszne. To nie znaczy, że jestem cynikiem. Po prostu znam zbyt wiele faktów, które obalają te wytarte slogany.

Dłuższy czas pracowałem w dzienniku, robiąc ilustracje do artykułów o przestępstwach. Potrafię zapamiętać najdrobniejsze szczegóły i dlatego posyłano mnie tam, dokąd nie wpuszczano fotoreporterów.

Nie wszyscy wiedzą, że tak zwana zbrodnia doskonała powinna być jak najprostsza w sposobie. Przykładem jest zabójstwo Sama Beringera, któremu ktoś strzelił prosto w serce. Nie było odcisków palców, poszlak, podejrzanych. Policja stwierdziła przypadek zbrodni doskonałej, a mój szef postanowił w niedzielnym wydaniu gazety opublikować artykuł na ten temat i polecił mi, bym zrobił kilka rysunków.

— Dlaczego właśnie ja?

— Mieszkałeś w tym samym domu. Na pewno widywałeś Beringerów.

— Owszem, spotykałem ich na schodach, ale z nimi nie rozmawiałem.

Nie powiedziałem mu, że znam pewne szczegóły z życia Sama i Elizy, dzięki doskonałej akustyce, którą odkryłem we wmurowanej w ścianę szafie. Otwierałem ją i wtedy słyszałem o czym mówiono na górze. Zauważyłem, że jeżeli ustawię rysownicę równolegle z szafą, to siedząc przy niej, słyszę wszystko tak, jakby rozmowa odbywała się u mnie w pokoju. Możecie to nazwać podsłuchiwaniem, ale należy pamiętać, że byłem samotny, rysowałem przeważnie w domu, a głosy zapełniały męczącą pustkę mojego mieszkania, które zająłem po Beringerach. Oni przenieśli się piętro wyżej.

I właśnie dzięki tej akustyce znałem Beringerów lepiej niż ktokolwiek w Nowym Jorku.

Przyjechali z Texasu i nie mieli tutaj znajomych. Sam Beringer był dość przystojnym mężczyzną. Jego rodzice byli bardzo zamożni, ale na skutek jakiegoś nieporozumienia musiał opuścić ich dom i zarabiać na swoje utrzymanie. Kiedy ożenił się z Elizą, przestał pracować. Wmówił sobie, że jest poetą i że pewnego dnia natchnienie zapuka do jego drzwi, a wtedy na pewno napisze wielki poemat. Sam prawie nie wychodził z domu i tylko żonie uskarżał się na swój okrutny los.

Eliza była bardzo ładna. Nigdy nie podnosiła głosu. Uspokajała go, kiedy wszczynał kłótnię.

Oczywiście, kłaniałem się, kiedy spotykałem ją na schodach. Nawet z nią rozmawiałem. Powiedziałem raz:

— Ale upał, co?

— Straszny. Ale ja lubię, kiedy jest gorąco. Dziwiłem się, że ona żyje z takim wyblakłym robakiem jak Sam i utrzymuje go, podczas kiedy on leży cały dzień przed telewizorem, pije whisky i czeka na natchnienie.

— Jesteś największym poetą — usłyszałem pewnego wieczoru. — Napiszesz swój poemat, będziesz sławny i wtedy wrócimy do domu twoich rodziców.

— Jak ja mogę pisać w takich warunkach? Całe życie mieszkałem w dużym domu, miałem służących, drzewa za oknami. A tu? Nawet drzew nie ma, a ja potrzebuję zieleni. Gdybyś dostała podwyżkę moglibyśmy wynająć jakiś lepszy dom. Musisz znaleźć lepiej płatną posadę.

— Postaram się, kochanie — powiedziała Eliza. — Zobaczysz, jeszcze ciebie zadziwię. Wszystko dobrze się skończy.

Jej głos był miękki i ciepły. Przyłapałem się na tym, że coraz częściej o niej myślę. Podobała mi się, to prawda. Mógłbym... Ale Sam był o nią bardzo zazdrosny. Śledził każdy jej krok.

Pewnego wieczoru jak zwykle otworzyłem szafę i usłyszałem, że Beringerowie się kłócą. W tej chwili nie pamiętam o co poszło, ale wiem, że on ją wtedy uderzył.

— Mogłabym cię zabić — usłyszałem cichy głos Elizy. — Gdybym była mężczyzną, zabiłabym cię — powtórzyła.

Nasłuchiwałem jeszcze chwilę, ale na górze panowała cisza. Wtedy zgasiłem światło i wyszedłem. Zobaczyłem Elizę, kiedy schodziła ze schodów. Odwróciła ode mnie twarz, żeby ukryć czerwony ślad na policzku.

— Chyba powinna pani teraz się napić — powiedziałem.

Oczy jej błyszczały. Zrozumiała, że znam tajemnicę szafy.

— Chyba tak, chyba tak...

Podszedłem bliżej. Patrzyła na mnie. Jej usta rozchyliły się w uśmiechu. Nigdy nie widziałem jej uśmiechającej się.

— Albo nie, nie teraz.

— Innym razem?

— Dobrze — spojrzała na mnie obiecująco.

Przyszła do mnie, kiedy już spałem. Jestem tego zupełnie pewien. Ja wiem, że to brzmi trochę głupio, kiedy ma się wątpliwości, jeżeli chodzi o takie sprawy. Czasami jednak wydaje mi się, że to był sen. Wtedy w moim pokoju było bardzo ciemno. Obudził mnie zgrzyt klucza w zamku. Wcale się nie zdziwiłem. Czekałem na nią. Wiedziałem, że to Eliza. Po wyprowadzeniu się zatrzymała klucz od mojego mieszkania. Poderwałem się na łóżku i wyciągnąłem rękę w stronę nocnej lampki.

— Proszę nie zapalać światła — szepnęła.

No tak, ale przecież szept nie jest głosem... Położyła się obok mnie, czułem jej oddech przy swojej twarzy, dotykałem jej włosów. Czekałem, żeby ją zobaczyć. Kiedy się obudziłem, byłem sam.

Trzy dni później Sam Beringer został zamordowany. Mimo usilnych poszukiwań nie znaleziono żadnych śladów. Lokatorzy znali Beringerów z widzenia, ale nikt nie odwiedzał ich, nikt nie znał ich osobiście.

Policjanci przyprowadzili Elizę do domu. Płakała:

— Mój biedny Sam, dlaczego go zamordowano? Przecież on nikogo tutaj nie znał, nie spotykał się z ludźmi. Był poetą...

— Postaramy się wykryć mordercę — powiedział jeden z policjantów.

I to wszystko. Nie było odcisków palców, poszlak, podejrzanych. Stwierdzono przypadek zbrodni doskonałej.

Po kilku dniach przyjechali rodzice Sama i zamieszkali razem z Elizą. Chciałem ją koniecznie zobaczyć i dlatego poszedłem do nich z wizytą kondolencyjną.

Drzwi otworzyła mi Eliza. Była w czerni. Wszedłem. Przy stole siedziała para staruszków.

— To jest nasz sąsiad...

— Steve Drake — przedstawiłem się.

Siedziałem kilka minut razem z nimi.

— Straciliśmy syna, ale została nam jeszcze córka — powiedziała pani Beringer i położyła rękę na ramieniu Elizy.

Po kilku minutach Eliza odprowadziła mnie do drzwi.

— Cieszę się, że pan przyszedł. Dziękuję panu... za wszystko.

Przez chwilę patrzyliśmy sobie w oczy. Mrugnęła do mnie i uśmiechnęła się.

Następnego dnia wyjechała do Texasu ze swoimi nowymi rodzicami. Nie zostawiła dla mnie żadnej wiadomości. Nic. Nie spodziewałem się tego po niej.

Zrobiłem rysunek swojemu szefowi. Spodobał mu się. Powiedział, że jest to moja najlepsza praca. Ja też jestem tego zdania.

Rysunek przedstawiał Beringera stojącego w drzwiach swojego mieszkania. Sam był ubrany w szlafrok, miał uniesione do góry ręce i przerażoną twarz. Na dalszym planie był stolik a na nim kieliszki i butelka whisky. Obok stał telewizor. Na ekranie można było zobaczyć fragment meczu piłkarskiego. Przed Samem stał morderca. Pokazałem tylko jego plecy i rękę trzymającą pistolet skierowany prosto w serce.

Oczywiście, nikt nie znał tych szczegółów. Tylko policja i ja. Za zabójstwo Sama Beringera chyba posadziliby mnie na elektrycznym krześle. No tak, ale przecież w ręce policji wpadają tylko ci, którzy swoje przestępstwo za bardzo komplikują albo ci, którzy pragną być ukarani.

Popełniłem jeden błąd. Na rysunku było zbyt wiele szczegółów znanych jedynie policji. W ten sposób przyznałem się do winy. Tak, chyba posadzą mnie na krześle...

Ale prawdziwy morderca Sama Beringera nigdy nie będzie ukarany. Eliza niczym się nie zdradzi. Jest teraz w Teksasie, gra rolę kochającej córki i czeka na spadek.

Tylko nie wiadomo jak długo to będzie trwało. Eliza może się zmęczyć czekaniem. W Texasie ludzie czasami bardzo długo żyją. Eliza chyba będzie chciała przyspieszyć swoim teściom proces starzenia się. Wtedy znajdzie kogoś, kto będzie jej pragnął. Spojrzy na niego... i będzie czekała.

Ale nie sądzę, żeby jej pomogła akustyka taka, jaka łączyła jej mieszkanie z moim. Wtedy Eliza może się zniecierpliwić. Może zrealizować swój zamiar w zbyt wyszukany sposób...

Przełożył **Roman Gorzelski**

„Lato" — L. Siteńsky

Przeczytaj u dentysty. Przeczytaj w tramwaju Przeczytaj w pociągu

Lewym okiem

OD LAT SIEDMIU

Popularna już rezolutna dziewczynka z „Podwieczorków przy mikrofonie" (Rolska, do tablicy!) w wypracowaniu o wycieczce do zabytkowych ruin najwylewniej wspomina demonstrowaną tam izbę tortur. „Ucinało się rączki, ciach, ciach i koniec. I tak się sobie mieszczan męczyło..." To jest dobry, cienki dowcip. Nie wyśmiewa wcale tortur, ani nie czyni zabawy z obrazu znęcania się nad człowiekiem. Wyśmiewa właśnie tych, którzy nie cofają się przed organizowaniem takiej zabawy i rozrywkę dla maluczkich widzą w umożliwianiu im zastępczego przeżywania sadystycznych emocji.

W starych zamczyskach, to jest najmniej szkodliwe. Stare zamczysko nikogo by nie interesowało, gdyby nie działy się w nim nigdy żadne mrożące krew w żyłach historie, nie straszyły białe damy, duszące tuzinami kochanków, skazańcy na dnie lochów, ojcowie mordujący swe córki dla obrony nieskazitelnego honoru. To było dawno, to są średniowieczne romanse, chociaż i tych nie powinno się dawać do czytania dzieciom. Pamiętam dręczące mnie przez wiele nocy w dzieciństwie zjawy, obudzone serią świętych obrazków z szerokim asortymentem wymyślnych sposobów zadawania śmierci. Obrazki polecał nam ksiądz, w nim musiały budzić inne ciągi wzruszeniowe. A przecież święci też byli dawno, co poznawało się od razu po strojach: żaden męczennik nie nosił krawata. To byli inni ludzie.

Są filmy dla dzieci, dla młodzieży, dla dorosłych. Kryterium podziału stanowi niemal wyłącznie stosunek do stosunku, choć nie jest to kryterium łatwe do prześledzenia. Trzy czwarte „Syna marnotrawnego" dzieje się w sielankowym włoskim, jakby to powiedzieć... casa di tolleranza, a film jest dozwolony od lat szesnastu. Obserwowałem taką szesnastoletnią parkę na widowni: on wybuchał głośnym śmiechem w najmniej odpowiednich, ale „pikantnych" momentach, żeby zamanifestować swój męski cynizm i obycie z tymi rzeczami. Ona przyjmowała wszystko z tchórzem podszyta „naturalnością" i wyzywającą swobodą. Oboje musieli być przy tym piorońsko zażenowani, a jeśli nie — tym gorzej dla nich.

Ale skończmy o tamtym. Jest cała obfita kategoria filmów, w których nikt nie pokazuje „anatomii ludzkiego ciała", nikt się nie kąpie przed sześcioma lustrami i nie przykrywa kołdrą w sposób, odkrywający co trzeba. Te filmy pokazujemy wszystkim, są przecież niewinne dziecinne, rozrywkowe.

Rozrywkową jest na przykład scena w „Traperze z Kentucky", gdy jeden uzbrojony i silny facet biczuje drugiego — bezbronnego — faceta, a tłum stoi i patrzy. Rzemienny bicz z pięknym świstem wyrywa kolorowe kawałki ciała z pleców tamtego, krew się leje czerwona, ubranie w strzępach. Pojedynek? Nie, przecież jeden jest bezbronny. Ale to męska gra, nikt się nie wtrąci, nie honor. Dopiero, jak dziewczyna przyciśnie kołem wozu koniec bata i tym podstępnym przecież czynem uniemożliwi dalszą masakrę, okazuje się, że można to było zrobić od razu, bez naruszania honoru, nawet w amerykańskim pojęciu. Ohydna scena. Coś z gargantuicznej wersji naszych rodzimych chuligańskich rozróbek, w których też raczej się postronni nie angażują. Film krąży po kraju niezmordowanie od trzech lat i rozpala wypiekami twarze chłopców.

W „Dwóch obliczach zemsty" związanemu i skatowanemu bohaterowi, który muchy by nie skrzywdził, miażdży się skrępowane dłonie potężnym ciosem kolby. Zdjęcie w zbliżeniu, żeby nie było wątpliwości. Z połamanych kikutów kapie posoka. W innym filmie kowbojskim — tytułu nie pamiętam — przybijają gościa nożem do stołu skopawszy go uprzednio z wielką starannością. Zbliżenie — jeszcze raz — pot na czole — krew z rękawa. No i po co? W filmie rozrywkowym bez żadnych „problemów", gdzie wszystko, każdy kadr usprawiedliwiony jest wyłącznie tą jedną racją bytu: dostarczeniem kulturalnej rozrywki dla rodziców i młodzieży? Gdzie mocne sceny nie mają budzić sumień, wstrząsać, przypominać i ostrzegać, a zaaranżowane są tylko dlatego, żeby widz poczuł dreszcz niewyżytej, wstydliwej satysfakcji?

Widz od lat dziewięciu dwunastu. Jeszcze nie może wiedzieć, jak się ludzie kochają. Słusznie, ma czas. Może wiedzieć, jak się biczują i dźgają nożami. Niesłusznie. Ma jeszcze mnóstwo czasu.

Ja bym mu takiego filmu nie pokazywał przed ukończeniem siedemdziesiątki.

CWIEK.

Napisz co myślisz

O KSIĄŻKACH WYDAWNICTWA ŁÓDZKIEGO, O REPERTUARZE TEATRÓW ŁÓDZKICH, O „ODGŁOSACH"

a list Twój weźmie udział w losowaniu nagród książkowych. Najcelniejsze wypowiedzi opublikujemy na łamach Twego tygodnika.

„ODGŁOSY"

Komitet redakcyjny: Halina Bekowa, Wacław Biliński (red. naczelny), Konrad Frejdlich, Wanda Karczewska, Tadeusz Papier, Jarosław Marek Rymkiewicz, Włodzimierz Stokowski. Kolegium: członkowie komitetu redakcyjnego oraz Lech Budrecki, Zbigniew Faliński, Jan Koprowski, Maria Kornatowska. — Wydawnictwo Prasowe „Prasa Łódzka" — Adres redakcji: Łódź, ul. Piotrkowska 96. Tel. 244-79. Warunki prenumeraty: miesięcznie zł 4; kwartalnie zł 12. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca. — Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem: na „Odgłosy" Druk: RSW „Prasa" — Łódź, Żwirki 17. Zam. 2481. VIII. 64. F-13.